

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 grudzień 2019, nr 43



Gmina w obiektywie

Ciemne, grudniowe wieczory też potrafią być piękne nawet, gdy nie ma śniegu.

Staw w Mysiadle, 14 grudnia 2019



Spis treści

6 Od Redakcji

7 Nowa Iwiczna? Gdzie to jest?

...nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogę zostać nauczycielem

13 Jestem szczęśliwa

...odnalazłam swoje powołanie, to, co chcę w życiu robić

18 Radosny kiermasz

...żyje i rozwija się dzięki wspaniałej więzi stworzonej w dobrej sprawie

20 Drzewa jak ludzie

...generał Sherman ma pień o średnicy ponad jedenastu metrów

26 Świąteczne anioły

...tym razem było ich ponad dwieście

28 Noszę w sobie dziecko

...spotkanie z królową Elżbietą II będę pamiętał do końca życia

34 Przy szklaneczce trójniaka

...Zagłoba na szlachcica pijącego cienkusz nie wyglądał

40 Iwicznańskie, świąteczne pyszności

...producenci rozstawili małe stragany na korytarzach szkoły

42 Patryk Classic Car

...cała rodzina wspiera jego pasję i cała rodzina mu kibicuje

48 Święta, święta i po świętach

...i choć w teorii jesteśmy mocni, to w praktyce bywa różnie





Od Redakcji

Drodzy Czytelnicy, kolejny rok spotkań z Wami właśnie się kończy. Kiedy oddajemy ten numer do druku, nie mam pewności, że w nadchodzącym 2020 roku miesięcznik „moja Lesznowola” będzie się ukazywał. Ponieważ pewności nie mam, chcę dokonać małego podsumowania tego, co za nami.

Przez trzy i pół roku poznaliśmy wielu wspaniałych ludzi, którzy zechcieli się z nami spotkać, opowiedzieć o swoim życiu i o swoich pasjach. Dziękuję za to serdecznie i zapewniam, że te spotkania były dla nas ogromną przyjemnością, a opisywanie ich, mnie osobiście, dało wiele satysfakcji.

Chcę podziękować wszystkim, którzy czytali „moją Lesznowolę” i tym, którzy kolekcjonowali numery, bo w nich był kawałek historii ludzi i naszej gminy. Nic tak nie cieszy wydawcy jak świadomość, że pod koniec każdego miesiąca Czytelnicy czekali na nasz miesięcznik i że zniknął on natychmiast z półek. Warto było dla Państwa pracować. I za to bardzo, bardzo dziękuję.

W ostatnim tegorocznym numerze przedstawiamy Państwu dwóch mieszkańców gminy, którzy są autorami bardzo interesujących książek oraz leśnika, który o drzewach wie prawie wszystko i hobbystę pszczelarza, z którym wypiliśmy szklaneczkę miodu. Opowiadamy o dziewczynie, która wzięła sprawy w swoje ręce, a teraz chce pomagać ludziom i o chłopaku, który zakochał się w starych samochodach.

Kuchnię jeszcze raz oddaliśmy do dyspozycji dietetyczki, która zapewnia nas, że nasze zdrowie jest w naszych rękach.

Miłej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski



*Nowa Iwiczna?
Gdzie to jest?*

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

– Gdy byłem nastolatkiem, moją pasją był sport. Chciałem grać w piłkę. Osiem lat poświęciłem tej dyscyplinie. Grałem w trampkarzach, potem w juniorach klubu Karpaty Krosno, bo jestem z Krosna, miasta szkła. Ale przyszedł jakiś kryzys, przestało mi się chcieć grać i wtedy zostałem z niczym – opowiada Wojciech Wajda, polonista ze szkoły w Nowej Iwicznej.



– Nigdy nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogę zostać nauczycielem. Pani Ania, przemiła polonistka z mojego liceum, u której zawsze miałem dobre oceny, kiedyś mnie zagadnęła: „Wojtek, dobrze ci idzie z polskiego, może byś wybrał się na polonistykę?”. Pamiętam, że wtedy zareagowałem bardzo stanowczo i powiedziałem: „Nie. Nigdy w życiu nie będę nauczycielem”.

Tadzio

Umówić się z panem Wojtkiem łatwo nie było, bo został ojcem i do domu przywiózł swój skarb. Małego Tadzia. Zdjęcia widzieliśmy, bo tata nosi je przy sobie. Tadzio ważył 3800 gramów i mierzył 55 cm, o czym pan Wojtek mówił z wielką, młodzieńczą dumą.

– Zawiozłem żonę w poniedziałek do szpitala, a we wtorek już byłem ojcem. Jeszcze we wtorek rano zdążyłem wpaść do szkoły, żeby wszystko ogarnąć i wziąć wolne, bo o szóstej dostałem telefon, że wkrótce zacznie się akcja i żona pojedzie na porodówkę.

Pojechałem do szpitala, wchodzę na salę, a tam żona już się z tym wszystkim mocije. Leży, widać, że troszkę cierpi, ale próbuje się uśmiechać.

Chyba się uradowała, że pojechałem, choć przedtem mówiła, że wolałaby rodzić bez mojego udziału, bo na pewno będę się śmiał. Mówiła tak, bo dobrze mnie zna i wie, że

w takich stresowych sytuacjach staram się rozluźnić atmosferę.

W zasadzie to myślę, że moja obecność podczas porodu trochę jej pomogła, bo zacząłem żartować, zrobiłem kilka zdjęć, zatelefonowałem do dziadków, którzy czekali niecierpliwie na wiadomości, bo Tadzio z przyjściem na świat się nie spieszył. Poród opóźnił się jedenaście dni. Lekarze mówili, że urodzi się piętnastego listopada, a urodził się dwudziestego szóstego. Od piętnastego słyszeliśmy pytania: „Kiedy, kiedy, kiedy?” i „Czy już, już?”. Żona się bardzo denerwowała, ja trochę mniej.



fot. z archiwum prywatnego W. Wajdy

Na sali porodowej udało mi się zrobić żonie jakiś niewielki masaż pleców, ale czy to jej coś pomogło? Nie wiem. Pamiętam tylko, jak w pewnym momencie ścisnęła moją dłoń tak mocno, że pomyślałem: „No, fajnie. Złamałaś mi kość. Jezu, następnym razem chwyć mnie za ramię, bo boję się, że gdzieś wyląduję obok na sali i będę mnie składać”.

Ale wszystko skończyło się dobrze. O dwunastej poród zaczął się na dobre i Tadzio przyszedł na świat. Beata była zmęczona, ale bardzo szczęśliwa. Ja też. Zmęczony i szczęśliwy.

Jak zostałem nauczycielem

– Mówiłem już, że moją pasją był sport, ale nie mówiłem, że drugą było czytanie książek. Kiedyś, gdy jeszcze grałem w piłkę, marzyłem, że w Krośnie otworzę szkołę piłkarską i będziemy trenować młodzież. Jednak jakoś mi przeszło. Zbliżała się matura i trzeba było decydować, co dalej. Zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedziała mi pani Ania, moja polonistka. Pomyślałem, że będę zdawał na Uniwersytet Warszawski, ale z Krosna do Warszawy było za daleko, a rekrutacja na studia zakończyła się szybciej, niż postanowiłem złożyć papiery.

Nie było wyjścia, zacząłem pracę, ale w pewnym momencie mama powiedziała: „Ty się zdecyduj, bo zaraz ci zamkną wszystkie rekrutacje na studia”. Łatwo powiedzieć: „ty się zdecyduj”, jak ja nie wiem, gdzie chcę pójść.

Poszedłbym na Uniwersytet Jagielloński studiować dziennikarstwo, kombinowałem, ale się bałem, że mnie obleją, bo tyłu jest chętnych na ten wydział. Złożyłem więc papiery na polonistykę, ale na nauczycielską i się dostałem. Gdyby mama nie naciskała, to bym tak siedział i myślał, myślał, aż znowu byłoby za późno.

Na studiach wybrałem jako kierunek specjalizację nauczycielską, bo specjalizacja dawała konkretny zawód i to było najważniejsze.

Wspominałem, że nie chciałem być nauczycielem, bo miałem w swojej głowie utrwalaony nie najlepszy obraz nauczycieli. Uczyli mnie różni, ale ten negatywny obraz dominował.

W liceum mieliśmy nauczyciela geografii, którego wszyscy się bali. Niczego przez trzy lata nas nie nauczył. Kiedyś ten pan prowadził zajęcia z przysposobienia obronnego i to mu zostało. Przed geografią po dzwonku wszyscy czekali na niego ustawieni w dwuszeregu, a gdy wchodził do klasy, jedna osoba meldowała jej stan. Ilu nas jest na lekcji, ilu nie ma i kogo brakuje. Potem siadał za biurkiem, a my musieliśmy się na miejscach tak, jak byliśmy zapisani w dzienniku na liście.

Gdy skończył się ten ceremoniał, dyktował z podręcznika jakiś temat i całą lekcję pytał. Na koniec mówił: „Przez to, że nic się nie uczycie, to tego tematu nauczycie się w domu sami. Ja z niego odpytam i jeśli się nauczycie, to będzie lekcja. Przez trzy lata przeprowadził może dwie lekcje, choć wiedzę miał dużą.

Nie podobało nam się to, bo nie miało nic wspólnego z edukacją, z jakimkolwiek nauczaniem. Takich nauczycieli mieliśmy wielu i stąd moja niechęć do zawodu.

Polonistykę skończyłem w roku 2016, ale przez to, że wiele osób mówiło mi: „Szukaj pracy już na studiach, bo później możesz nie znaleźć”, rok wcześniej już pracowałem.

Nauczycielskie małżeństwo

– Moja żona też jest pedagogiem, polonistką, ale nie pracujemy w tej samej szkole. Beata, kończąc studia, zrobiła w trakcie trwania magisterki z polonistyki magisterium z pedagogiki wczesnoszkolnej. Poznaliśmy się na studiach, bo ja – jak wspominałem – jestem z Krosna, a żona ze Śląska, z Górek Wielkich. Szczyrk, Wisła, Ustroń to jej tereny.

Studiowaliśmy na jednym wydziale na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale – jak pamiętam – w ciągu trzech lat widziałem ją tylko raz. Poznaliśmy się dzięki wolontariatowi.

Zacząłem działać w wolontariacie w „Akademii przyszłości”, bo wiele osób mówiło, że same studia nic nie dadzą, jeżeli nie nabierze się doświadczenia. Włączyliśmy się też w akcję „Szlachetna paczka”, bo to bliźniacza, tylko nieco od akademii starsza akcja charytatywna.

Wolontariat w „Akademii przyszłości” ma na celu pomoc dzieciom. Polega na tym, że wolontariusz ma pod opieką dziecko, które ma problemy z nauką czy problemy rodzinne, spotyka się z dzieckiem na terenie szkoły i stara się mu pomóc.

Wymyśla swoje metody i próbuje nawiązać z podopiecznym takie relacje, dzięki którym dziecku będzie łatwiej i lepiej się uczyć. Często jest

to zabawa poprzez naukę. I ja to chętnie robiłem, bo tak lubię działać. Także w swojej szkole.

Gdy był finał „Akademii przyszłości”, spotkaliśmy się z Beatą. Ona miała swojego dzieciaczka, ja swojego i okazało się, że studiujemy na jednym uniwersytecie i nigdy przedtem się nie widzieliśmy. I tak się zaczęło. Dziś jesteśmy nauczycielskim małżeństwem, uczymy w różnych szkołach i mamy Tadzia.

Moja szkoła

– Nauczycielską karierę zacząłem praktykami w czwartej klasie szkoły podstawowej w Krakowie. Bardzo mi się tam podobało. Zrobiłem na początku kilka dobrze ocenionych pokazowych lekcji pod okiem pracującej w szkole nauczycielki i postanowiłem, że nie będę praktykował w mieście, gdzie się urodziłem i chodziłem do szkoły, tak jak robiło wielu kolegów, tylko zostałem w Krakowie.



Trafiłem na fajne, pozytywne nauczycielki, które mi pokazały, jak przeprowadzić lekcję, zwróciły uwagę na relacje z uczniami. To nie był typ nauczycielek, które nie pozwalały uczniowi zbliżyć się do siebie. One potrafiły i przytulić, i porozmawiać. Zabrały mnie też na wycieczkę do Lasu Wolskiego. To były piękne trzy tygodnie. Zżyłem się z uczniami do tego stopnia, że jak odchodziłem, to niektóre dzieciaki płakały, że mnie już nie będzie. I wtedy mi się to spodobało.

Pomyślałem, że fajnie być takim wychowawcą. Patrząc przez pryzmat tych trzech tygodni wakacji spędzonych z klasą, nie miałem świadomości, że gdy się zacznie rok szkolny, trzeba robić scenariusze zajęć, trzeba się przygotować do kolejnych lekcji i że nawet ta wycieczka, na której byliśmy z klasą, sama się nie zorganizowała. To wszystko robi nauczyciel, a prace same się nie poprawiają.

Potem były praktyki w gimnazjum i też było w porządku. Wychowawczyni klasy, u której miałem praktykę, mówiła nawet, że odchodzi wkrótce na emeryturę, więc za trzy lata mogą mnie zatrudnić.

Nie skorzystałem jednak z oferty, tylko rozsyłałem swoje CV po różnych szkołach. Pamiętam, że zaoferowano mi pracę w szkole w Nowej Hucie, zaproszono nawet na spotkanie i było tak.

Poszedłem tam z jakąś swoją ideą i miałem przemysłane, co chcę robić i jak. Słuchały tego dwie panie: dyrektorka i wicedyrektorka. Dyrektorka była za, a jej zastępczyni przeciwna moim zamiarom. Zapytała: „Jak pan to sobie wyobraża? Wejdzie pan do klasy i co?”

Nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi, bo opowiedziałem dokładnie wszystko, tylko że pani dyrektor słuchała tego, co mówiłem, z uwagą, a pani wice, gdy mnie tylko zobaczyła, na dzień dobry postawiła na mnie krzyżyk. Wiem, że wtedy na spotkanie przyjechałem na rowerze i spocony zakładałem krawat przed wejściem, ale



fot. z archiwum prywatnego W. Wajdy (x2)

nie sądziłem, że to może mieć aż takie znaczenie.

Okazało się, że miała. Szkoła pamiętała czasy Gierka czy Gomułki, bo pani siedząca za biurkiem musiała mnie zaanonsować i wprowadzić do gabinetu. Podobnie miałem na praktykach w liceum. Pani, która się mną opiekowała, tak się bała swojej dyrektorki, że trzy razy puknęła do drzwi, zanim weszliśmy. Uznałem, że to nie ten typ szkół, których szukam i w których chciałbym pracować.

Na szczęście, któregoś dnia zadzwonił telefon ze szkoły w Nowej Iwicznej. Zadzwoniła pani dyrektor i zaprosiła mnie na rozmowę. Ponieważ dla mnie ten dzień był bardzo smutny, bo tego dnia miał miejsce pogrzeb mojej prababci, szybko zapomniałem, jaka to szkoła. Miałem zanotowaną tylko godzinę i datę spotkania. Gdy po pogrzebie wróciłem do domu, sprawdziłem, do jakiej szkoły należy numer telefonu, i okazało się, że to szkoła w Nowej Iwicznej.

„Jezu, gdzie to jest? Pierwszy raz słyszę o takiej miejscowości. Muszę tam pojechać” – pomyślałem. Obejrzałem mapę, zobaczyłem, że to blisko Piaseczna, i nawet się ucieszyłem, bo w Piasecznie mieszka moja ciocia, która często do nas, do Krosna, przyjeżdżała. Nas nie było stać na wyjazdy do mitologizowanej

przez ciocię Warszawy, więc ciocia przyjeżdżała do nas.

Poprosiłem mamę, żeby do niej zadzwoniła, opowiedziała, jaką mamy sytuację, i zapytała, czy jak przyjadę do Warszawy, będę mógł u cioci przenocować. Mama zatelefonowała, porozmawiała i powiedziała: „Jedź, Wojtek, ciocia cię przenocuje”. Pojechałem.

Przyszedłem do szkoły i dostałem propozycję pracy, ale nie jako polonista, bo byłem jeszcze na czwartym roku i musiałem pozdawać egzaminy. Przedstawiono mi warunki. Zaproponowano, żebym się z propozycją przespał i jeśli będę chciał, w wakacje zadzwoni do mnie jeszcze raz dyrekcja i zapyta, czy chcę pracować, tylko na razie w świetlicy. Jeśli sprawdzę się w świetlicy, uznam, że mi się szkoła podoba i będę miał dobry kontakt z dziećmi, to dostanę etat polonisty.

I tak zrobiłem. Po licencjacie mogłem już pracować jako nauczyciel, ale żeby więcej zarabiać, trzeba dokończyć studia i mieć tytuł magistra. Dyrekcja szkoły postawiła mi taki warunek. Zaczęłem pracę w szkole i przez rok dojeżdżałem na uniwersytet do Krakowa, żeby zaliczać. Przy okazji spotykałem się z moją przyszłą żoną. Miałem indywidualny tok studiów, kontaktowałem się z profesorami mailowo i pisałem pracę magisterską.

...mam z tej pracy ogromną satysfakcję, bo jestem blisko moich uczniów



Moi uczniowie

– W świetlicy pracowałem krótko, ale zdążyłem poznać inne niż edukacyjne potrzeby dzieci i to dało mi wiele do myślenia. W roku 2015 dostałem swoją klasę. Była to piąta klasa. Klasa super, której zadedykowałem moją pierwszą książkę: *Niezwykła przygoda Żumy i jej balonowej gumy*.



Potem była klasa szósta, siódma i coraz bardziej niekonwencjonalna praca z uczniami. Realizowałem program nauczania po swojemu. Zaczęliśmy spotykać się na kółkach, pracowaliśmy w grupach z coraz większym udziałem uczniów. Gdy przerabialiśmy lektury szkolne, to zaczęliśmy od czytania nowelek, później uczniowie czytali w domu, pisali scenariusze przedstawień,

proponowali do nich scenografię, a potem wszyscy się doskonale bawiliśmy na przedstawieniu. Okazało się, że tak przetrawione lektury szkolne można polubić.

Ja miałem i mam z tej pracy ogromną satysfakcję, bo jestem blisko moich uczniów i czuję się trochę takim ich przewodnikiem, a nie nudnym, odpytującym, kostycznym belfrem. Daję im zadania, stawiam wyzwania, a oni sobie z tym radzą, a jak nie, to im pomagam. Może dlatego się lubimy. Wielu moich uczniów, którzy już odeszli ze szkoły, wpada do mnie na herbatę, żeby sobie porozmawiać i wspominać, jak było. To bardzo cenne.

Wspomniałem, że moim uczniom zadedykowałem książkę. To książka o Ani. Dziewczynce, która przyjeżdża do nowego miasta, do nowej szkoły, nie ma przyjaciół, jest samotna, tak jak wielu uczniów naszej szkoły, którzy są świeżymi mieszkańcami Nowej Iwicznej. Spotyka fantastyczne postacie i więcej nie powiem. Najważniejsze, że książka się podobała.

Dla moich uczniów z klas 7–8 napisałem też książeczki z dyktandami. „Dyktanda z przysłowiami”, „Dyktanda z humorem” i inne. Są w nich teksty, w których trzeba uzupełnić brakujące litery, ucząc się przy tym ortografii, i są krzyżówki.

Do ich rozwiązania trzeba poszukać odpowiednich słów w dyktandzie. Obie propozycje służą nauce i zabawie, a poza tym uczniowie widzą, że napisałem to dla nich i też z tego korzystam.



...dla moich uczniów z klas 7–8 napisałem książeczki z dyktandami

...łazimy po górach,
a przy okazji czytamy poezję
i uczymy się historii



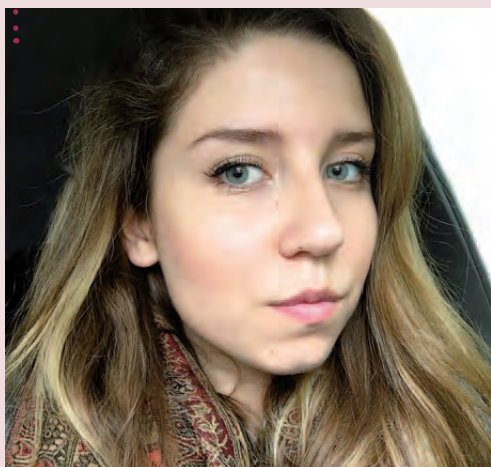
Wiem, że już długo opowiadam, ale muszę opowiedzieć jeszcze o jednej inicjatywie. Z panią Ewą Misztal, która uczy u nas historii, zaainspirowani tym, co robią Małgorzata Grudzińska i Kamil Strzałkowski, nauczyciele ze szkoły w Lesznówoli, założyliśmy szkolne koło PTTK i jeździmy z uczniami siódmych klas w góry. Mamy za sobą Gorce

i Turbacz, Pieniny – Trzy Korony i Sokolicę, Beskid Nowosądecki z bacówkami, a w tym roku zaliczyliśmy Beskid Wyspowy położony pomiędzy doliną Raby a Kotliną Sądecką. Łazimy po górach, a przy okazji czytamy poezję i uczymy się historii. Łączymy przyjemne z pożytecznym. ■

fot. z archiwum prywatnego W. Wajdy

Z tarasu, który jest na najwyższym piętrze budynku na rogu Różanej i Krasickiego, można będzie na Nową Iwiczną spojrzeć na cztery strony świata. Piszę „można będzie”, bo budynek jest jeszcze w budowie, ale 12 stycznia zacznie się w nim życie. Taki plan ma Magdalena Żołądek, która swego czasu postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

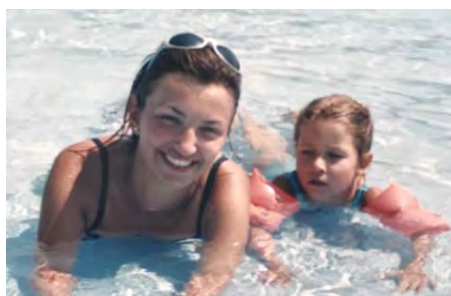




– Naprawdę jestem szczęśliwa. Mam wokół siebie ludzi, których kocham, którzy mnie wspierają, motywują, dodają skrzydeł. Odnalazłam swoje powołanie, to, co chcę w życiu robić i co robię. Jestem zdrowa i realizuję swoje marzenia – powiedziała Magdalena na wstępie, ale nim zapytałam, co chce robić, zwróciłam uwagę na to: „Jestem zdrowa i realizuję swoje marzenia”. Czuję, że za tym wyznaniem kryje się jakaś historia, o której trudno mówić i jeszcze trudniej ją zapamiętać. Spróbuję o tym, co usłyszałam, opowiedzieć.

Radość

Z Nową Iwiczną i miejscem, gdzie realizuje swoje marzenia, jest związana od dziecka. Na fundamentach rodzinnego domu powstaje teraz budynek, z tarasu, którego Nową Iwiczną widać jak na dłoni. W rodzinnym domu mieszkali wszyscy razem. Dziadkowie ze strony mamy, mama, tata, ona i jej starsza siostra Anna, która teraz mieszka w Waszyngtonie.



...od siódmego roku życia jeździła konno prawie dzień w dzień

Babci nie znała. Zmarła, nim Magda się urodziła. Dziadka kochała bardzo, bo to on, gdy rodzice byli w pracy, odbierał ją ze szkoły i wychowywał.

Dzieciństwo miała bajkowe. Opowiadała, że gdy ledwie skończyła pięć i pół roku, odnalazła swoją największą pasję. Była to jazda konna i miłość do koni. W szkole, do której miała parę kroków, poznała przyjaciółkę, dzięki której zaczęła jeździć konno. Od siódmego roku życia jeździła konno prawie dzień w dzień. Rodzice wozili ją do stajni Klubu Jeździeckiego Poster na Słonecznej, do Ryszarda Mordzelewskiego („moja Lesznowola” nr 1) człowieka, który kocha konie i opowiada, że koń jest jak człowiek. Potrafi płakać.

Gdy przychodził czas wakacji, wyjeżdżała z przyjaciółką na Mazury i dwa miesiące spędzały w siodle. Po wakacjach wracały do domu i konie w stajni na Słonecznej, na których jeździły w lasach w okolicach Magdalenki. Rodzice mieli do niej ogromne zaufanie, bo jeździła tak, jakby urodziła się w siodle. Na pierwsze trasy wyjeżdżały z mamą koleżanki, ale potem jeździły same. Tak było przez dziesięć lat pełnych radości.



Ból

Przysłowia mówią: „Kto bywa na koniu, bywa i pod koniem...”, „Kto nie jeździ na koniu, z niego nie spadnie”. Wszystko więc było w zgodzie z ludową mądrością. Skakała przez przeszkody i miała kilka upadków. Część z nich kończyła się noszeniem gipsu ale wszystko było wpisane w cenę pasji i mimo bólu przyjmowała to jako coś naturalnego. Nawet ten wypadek, gdy mocno spadła na biodra i w wyniku uderzenia doznała urazu miednicy.

Zaskoczenie przyszło wtedy, gdy okazało się, że u Magdaleny zaczęła rozwijać się skolioza, czyli poważne skrzywienie kręgosłupa. Wprawdzie w osiemdziesięciu pięciu przypadkach przyczyny tej choroby nie są znane, ale ona czuła podskórnie, że ten wypadek był jakimś impulsem do rozwoju choroby.



fot. z archiwum prywatnego M. Żołądek (x6)

Rodzice zawieźli ją do kliniki w Konstancinie, do doktora Waldemara Szymaniaka, wspaniałego ortopedy. Zaczęła chodzić na rehabilitację, nosiła specjalny plastikowy gorset, ćwiczyła w domu, a skolioza się pogłębiała. Nie było żadnego pomysłu, żadnej zwrotnej, co robić, żeby kręgosłup wyprostować.

Potem przyszło najgorsze. Lekarz i rodzice zabronili jej jeździć konno. Nie jeździła przez dziesięć lat. Ilekroć widziała konie albo słyszała, jak ktoś przy niej o koniach mówił, musiała wyjść z pokoju, żeby się wypłakać. Miała wtedy czternaście lat. W głębi serca nigdy się z tym nie pogodziła. Wierzyła, była pewna, że kiedyś do jeździectwa wróci.

Gdy miała już dość mocno skrzywione plecy, zaczęła nosić tylko luźne T-shirty, przestała jeździć z przyjaciółmi na wakacje i czuła, że nie ma żadnej deski ratunku. Czuła, jak wysiada jej psychika. Górę wzięły przewlekły stres i zaczął uwalniać czynniki psychosomatyczne. Zaczęła mieć bardzo duże problemy z cerą.

Za dużo naraz

Ludzie często mówią, że nieszczęścia chodzą parami. Że jeśli wydarzy się coś złego, to pewnie przyjdzie jeszcze gorsze. Do jej bólu i zmartwień doszedł kolejny powód. U mamy zdiagnozowano nowotwór. Rok czy dwa lata później nowotwór zaatakował tatę. Sama była chora, z dwójką chorych bliskich jej osób, bez koni i bez radości.

Gdy była dzieckiem, nie bawiła się lalkami. Na trzecie urodziny dostała od chrzestnej psa. Był to długowłosek, bardzo mądry jamnik o imieniu Oskar. Wychowywali się razem i kochała go najbardziej na świecie. Miała więc podwórko, konie i psa. Był też dziadek, o którym już wspomniała wcześniej i który dożył w zdrowiu dziewięćdziesięciu ośmiu lat.



...gdy była dzieckiem, nie bawiła się lalkami

Magda nie pamięta już, czy dziadek zmarł pierwszy, czy wcześniej musiała uśpić Oskara. W każdym razie było to jakoś przed maturą. Wtedy też bardzo chorował jej tata. Paraliż postępujący objął połowę jego ciała. Miał okropne bóle. Prawie przez rok nie podnosił się z łóżka, a ona z tatą zawsze miała najlepszy kontakt. Gdy zmarł, chodziła do liceum.



fot. z archiwum prywatnego M. Żołądek (x3)

Słabo jej poszła matura. Nie dostała się na SGH, o której marzyła. To wszystko spadło na nią w ciągu trzech lat.

Wreszcie dopadła ją depresja. Nie miała energii, leżała, spała, jadła słodczyce, nie miała ochoty wychodzić z domu. Za dużo było tego wszystkiego na raz. Czowała jednocześnie, że gorzej już być nie może, że więcej nie udźwignie. Wystarczy.

Tak funkcjonowała przez kilka lat, aż poczuła, że już nie chce i nie może tak dalej. Powiedziała sobie wtedy: „Nie chcę brać leków, nie chcę się zalezczać, bo to jest chowanie problemu pod dywan. Muszę wziąć życie w swoje ręce. Muszę się otrząsnąć i podnieść”.

Szkoła

Udało się. Nim jednak opowiem, jak to się stało, wspomnę, że mimo choroby, przeżyć, które były jej udziałem, tak jak jej rówieśniczki chodziła do szkoły, uczyła się i studiowała.

Najpierw w Nowej Iwicznej chodziła do zerówki i pierwszej klasy. Potem rodzice przenieśli ją do prywatnej szkoły katolickiej w Warszawie na Bobrowieckiej. Była to szkoła im. św. Franciszka z Asyżu. Piękny okres, cudowna szkoła. Gdyby miała wybór i mogła cofnąć czas, poszłaby tam jeszcze raz.

Potem uczyła się w gimnazjum sióstr nazaretanek na Czerniakowskiej, następnie w XXI Liceum im. Mikołaja Reja. Cudowny czas, wspaniała szkoła, fajni ludzie. Przynajmniej tak ten okres wspomina. Kolejny stopień jej edukacji to studia na Uniwersytecie Warszawskim. Studiowała finanse i rachunkowość. Trzy lata zaliczyła w dwa, bo bardzo się jej spieszyło żeby coś robić, żeby zacząć pracować.

Ponieważ każdego z nas los prowadzi różnymi drogami, ją zaprowadził na trzy lata do Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych, a potem do Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej na roczne podyplomowe User Experience Design, czyli projektowanie użyteczności. Na Uniwersytecie Warszawskim skończyła teraz podyplomowe studia z zakresu psychologii pozytywnej.

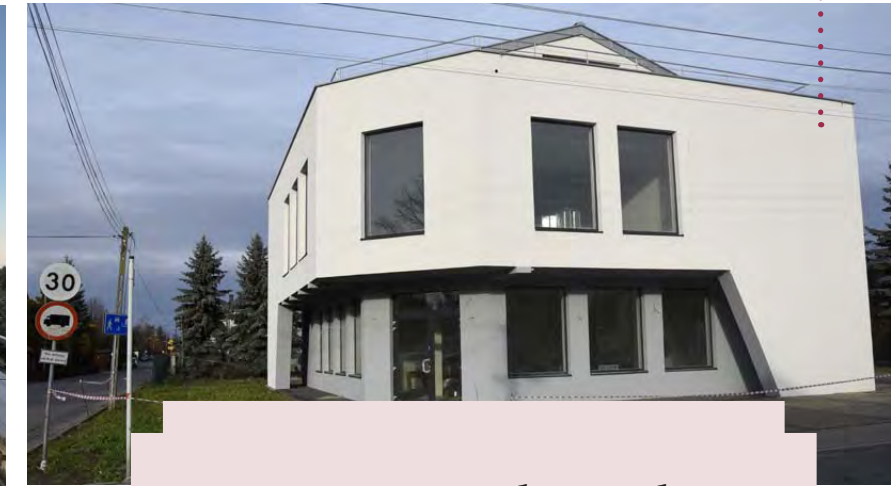
– We wszystkim, za co się zabieram, potrafię odnaleźć przyjemność – mówi.



Tu i teraz

Wracam do przerwanej opowieści i uzupełniam ją o jeszcze jedną informację z życia Magdaleny. Jak mi powiedziała, w 2015 roku lekarze zdiagnozowali u niej hiperinsulinemię, czyli wstęp do cukrzycy typu 2. Endokrynolog oznajmił jej, że niewiele da się już zrobić, ale poprzez odpowiednią dietę i dbanie o siebie może opóźnić wystąpienie cukrzycy. Wyszła od lekarza z taką złością, że mówiła do siebie: „Co ty mi jeszcze, świecie, zaserwujesz? Czego ja jeszcze nie mogę?”

I wtedy powiedziała, że potrzebuje wziąć życie w swoje ręce. Najpierw poszła na trzymiesięczną terapię, a w wakacje 2016 roku na pierwszy kurs technik oddechowych i medytacji. To zmieniło jej życie. Kilkundniowy kurs, prowadzony przez Art of Living był w Tarasce, dwie godziny drogi od Warszawy. Art of Living to międzynarodowa organizacja, która prowadzi kursy Happiness Program w 156 krajach na całym świecie.



...w miejscu, gdzie miała radosne dzieciństwo, buduje i otwiera HappyNest Center

To tam poznała techniki i narzędzia pomagające radzić sobie ze stresem i dowiedziała się, co zrobić, by zredukować stres, który już jest. Jak sobie pomóc. Jak podnieść poziom energii, jak uwolnić negatywne emocje i jak sobie poprzestawiać w głowie, żeby się skupić na tym, co pozytywne.

Nikt jej przedtem nie uczył, jak codziennie w ramach prewencji czyścić swój umysł, jak ma sobie radzić, gdy zalewa ją złość lub gdy zjada stres. Gdy to poznała i zaczęła regularnie praktykować, jej życie się zmieniło. Wszystko się powoli transformowało. Powiedziała, że miała tyle energii, wiary i poczucia, że ma moc i potencjał, że to ona jest sprawcą, że wyprostowała nagle swoje plecy. Wróciła do swojej pasji. Do koni i jeździectwa.

Własne doświadczenie i świadomość, że w życiu może być inaczej, stały się impulsem do działania. Dlatego razem z mamą budują budynek róg Różanej i Krasickiego.

– Nasz umysł ma różne tendencje. Jest albo w przeszłości, albo w przyszłości. Myśli nie

opuszczają nas nawet we śnie. Gdy myślimy o przeszłości, to głównie generują się wstyd, poczucie winy, żal, wyrzuty sumienia, gniew, złość. To są niskowibracyjne emocje, które nas osłabiają, są destrukcyjne. Kiedy myślimy o przyszłości, to na ogół pojawia się lęk, obawa, troska, niepewność, czyli też niskowibracyjne emocje, które nas osłabiają. Jeżeli umysł cały czas jest raz tu, raz tu, to mamy stres, a każda stresowa emocja wywołuje biochemiczne reakcje w naszym ciele i generuje choroby.

Tylko dzieci są zawsze w stanie tu i teraz. Jak jest źle, to będą płakać, gdy jedzą cukierka – są na sto procent szczęśliwe. Niczego nie rozpamiętują. Są tu i teraz.

Dzieci żyją chwilą. Dorośli nie. A gdzie są spokój i szczęście, którego tak wszyscy szukamy i potrzebujemy? Są zawsze tu i teraz. Sęk w tym, żeby nasz umysł sprowadzić do tu i teraz. I dlatego budują miejsce, gdzie tego się będzie można uczyć.

Co będzie w budynku na rogu Różanej i Krasickiego? Będą odbywały się zajęcia z technik oddechowych dla młodzieży i dorosłych. Będzie mindfulness, czyli nauka medytacji zmniejszającej stres, koncentrowanie uwagi na bodźcach występujących w danej chwili. Będą odbywały się zajęcia z muzykoterapii, do których specjalny program opracowała światowej sławy sopranistka Olga Szwejger, zajęcia z emisji głosu i zajęcia ruchowe, czyli taniec.

Jedno piętro będzie poświęcone ajurwedzie, starohinduskiej sztuce leczenia, w której medycyna spotyka się z psychologią i filozofią. Będą tu masaże, zabiegi i konsultacje dietetyczne, a także joga. W sali na dole znajdują się restauracje. Wegetariańska i wegańska.

Dlaczego w miejscu, gdzie miała radosne dzieciństwo, Magdalena buduje i otwiera HappyNest Center? Bo po doświadczeniach, o których nam opowiedziała wie, że to, czy się podniesiemy, wyprostujemy i znowu będziemy szczęśliwi, zależy od nas samych. Wystarczy wiedzieć, co i jak robić. Tą wiedzą chce się dzielić z ludźmi, którzy potrzebują pomocy. Bo jak powiedział dr Wayne Dyer, amerykański wykładowca i autor książek motywacyjnych: „Jeśli zmieniasz sposób, w jaki widzisz świat, świat, który będziesz oglądać, się zmieni”. ■



Radosny kiermasz

Urodził się dwa lata temu z inicjatywy uczniów i rodziców. Żyje i rozwija się dzięki wspaniałej więzi stworzonej w dobrej sprawie.

– W tym roku – mówi pani Anna Łupińska, dyrektor Szkoły Podstawowej im. Jana Pawła II w Łazach – zaczęliśmy się zastanawiać, czy kiermasz powtórzyć i zdaliśmy się na decyzję uczniów i ich rodziców. 21 listopada mieliśmy zebranie rodzicielskie i usłyszeliśmy: „Tak. Nie można tej inicjatywy i tego entuzjazmu, z jakim wszyscy przystąpili do organizacji pierwszego kiermaszu, zaprzepaścić”.

Po tej decyzji wszyscy z wielkim zapałem zabrali się do roboty. Pracowali w szkolnych warsztatach, świetlicy i w domach. Robili świąteczne stroiki, bombki, kartki pocztowe, ozdoby choinkowe i wiele, wiele innych przedmiotów, które potem znalazły się na stoiskach.

W przeddzień kiermaszu w wielu domach roznosił się wspaniały zapach pieczonych ciast przygotowanych do sprzedaży z kawą i herbatą.

Efekty tych wszystkich prac mogliśmy oglądać w hali sportowej szkoły w Łazach 11 grudnia. Do stoisk trudno się było precyzować.

– Było wielkie zaangażowanie uczniów, rodziców, nauczycieli i w ogóle pracowników szkoły. Bardzo wszyscy tego chcieli i jak się okazało, gdy się bardzo chce, to w krótkim czasie można coś tak dobrego zorganizować – mówi pani dyrektor.

– Ponieważ kiermasz ma cel charytatywny, pieniądze uzyskane ze sprzedaży są przeznaczane na

wybrane przez młodzież cele.

W tym roku samorząd szkolny zdecydował się na dwa. Jeden to zbiórka pieniędzy na wsparcie programu „Słoneczny pokój” prowadzonego przez Stowarzyszenie Piękne Anioły, którego celem jest pomoc biednym dzieciom.

Drugi, to pomoc czteroletniej Lilianie, podopiecznej Fundacji „Zdążyć z pomocą”. Dziewczynka cierpi na mózgową porażenie dziecięce, niedowład kończyn oraz padaczkę. Nie potrafi chodzić, siedzieć i mówić. Potrzebuje środków na leczenie i rehabilitację.

Realizacja tych celów stała się siłą napędową, która pozwoliła w kilkanaście dni przygotować wszystko to, co było do sprzedania



na kiermaszu. Uruchomiła wyobraźnię, kreatywność i wspólne działanie. W ciągu kilku godzin, 11 grudnia uczniowie sprzedali swoje dzieła za blisko dziewiętnaście tysięcy złotych.

Fotorelację z kiermaszu ukazującą entuzjazm, wspólnotę i radość z działania, którą mamy nadzieję udało się nam uchwycić, z gratulacjami dla uczniów, rodziców, nauczycieli i pracowników szkoły podstawowej im. Jana Pawła II w Łazach zamieszczamy z prawdziwą przyjemnością. ■

Drzewa jak ludzie



– W mojej rodzinie leśnika nie było, ale mam chrzestnego, który pracował w Instytucie Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach. Gdy po liceum zastanawiałem się, co studiować i co w życiu robić, podsunął mi pomysł: „Skoro interesują cię drzewa, to może idź na leśnictwo” – powiedział i pomyślałem: „Czemu nie?”. W konsekwencji zdałem na SGGW w Warszawie i studiowałem na wydziale leśnym.

Spełnione marzenie

– Moim marzeniem było zobaczyć Park Narodowy Sekwoi, znajdujący się w południowej części pasma gór Sierra Nevada w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Park słynie z rosnących w nim mamutowców olbrzymich, w tym największego na świecie drzewa zwanego Drzewem Generała Shermana, które rośnie w Lesie Olbrzymów.

Generał Sherman ma około trzech tysięcy lat, osiemdziesiąt cztery metry wysokości i pień o średnicy ponad jedenastu metrów. Jego niektóre konary mają nawet po dwa metry średnicy. Trudno to sobie wyobrazić. Jak stanęliśmy z żoną i dziećmi dookoła pnia, żeby zrobić zdjęcie pod tą sekwoją, to wyglądamy na nim jak mrówki.

Taka jedna sekwoja daje tyle metrów sześciennych drewna, ile rosnących na hektarze starych, dorodnych świerków. Z tej ilości drewna można wybudować około osiemdziesięciu pięciu drewnianych domów. To robi wrażenie.

W Lesie Olbrzymów znajduje się pięć z dziesięciu największych pod względem objętości drzew na świecie. Piękny park. Już przy samym jego wejściu rosną cztery olbrzymie sekwoje.

– Na wycięcie drzew zawsze przyjdzie czas i zawsze zdążymy to zrobić. Dopóki można, trzeba im pomagać, żeby mogły funkcjonować. Drzewa, tak jak ludzie, wymagają pielęgnacji, opieki i lekarzy – mówi mieszkaniec Lesznowoli, mgr inż. Tomasz Łyszcz. Człowiek, który o drzewach wie prawie wszystko.



W parku widziałem tak wielkie leżące drzewa, że można było w ich środku swobodnie chodzić, bo tak ogromne średnice miały wyżłobione w nich tunele. Były też takie miejsca, przez które swobodnie mogły przejeżdżać samochody. Pnie tych drzew olbrzymów z wydrążonymi tunelami są odporne na warunki atmosferyczne i nie ulegają rozkładowi.

Jest przepięknie. Warto się tam wybrać i samemu te cuda zobaczyć. Ja na pewno tam jeszcze wrócę – mówi pan Tomasz.

– Urzekła mnie też Norwegia. Nie tylko jej przepiękne lasy, ale też podejście do ekologii. To naprawdę ekologiczne państwo. Samochodów z silnikami diesla tu się nie spotyka. Większość to samochody elektryczne, a na każdej stacji paliw są punkty ich ładowania.

U nas mówi się wprawdzie o samochodach elektrycznych, ale żeby wyprodukować do nich prąd, trzeba palić w elektrowniach węglem i taka to jest ta nasza „ekologia”.

Zawsze, kiedy polecimy gdzieś na wakacje, żona zwraca mi uwagę, że jak idę, to nie patrzę przed siebie, pod nogi, tylko w górę, na korony drzew. Ale to jest moje skrzywienie zawodowe – leśnika, dendrologa, który popatrzy na palmę i mówi do żony: „Zobacz, ta palma jest trawą. – Jak to trawą? Przecież widzę, że to palma. – No tak, ale jest rośliną jednoliścienną, czyli należy do rodziny traw”.



...moim marzeniem było zobaczyć Park Narodowy Sekwoi



Leśnik, dendrolog, lekarz

– Pochodzę z Kurowa w województwie lubelskim – wspomina pan Tomasz. – Gdy po podstawówce miałem iść do liceum, najbliżej było do Puław, gdzie jest wiele szkół, ale ja wybrałem Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Nałęczowie. Powód był z pozoru mało istotny, ale dla mnie ważny. W Nałęczowie było dużo zieleni. Nałęczów to miasto-ogród z dwudziestokilkuhektarowym parkiem uzdrowskim, gdzie kuracjusze dla zdrowia chodzili boso.

I to był zasadniczy powód, dla którego ja, młody człowiek z umysłem raczej ściśle matematycznym, postawiłem na biologię. Wybrałem ten przedmiot na egzaminie maturalnym i po maturze zdecydowałem się zdawać na biologię. Studiowałem w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie na wydziale leśnym.

Gdy na koniec studiów trzeba było napisać i obronić pracę inżynierską, zdecydowałem się, że napiszę ją o Pustyni Kaltenbacha. To jest dwustuhektarowy obszar wokół Zakładów Azotowych w Puławach, na którym po uruchomieniu produkcji na skutek zanieczyszczenia środowiska wypadł las. Powstała piaszczysta pustynia. Potem podjęto tam próby nasadzeń, przywrócenia pustyni do życia. Zakłady azotowe zmniejszyły emisję szkodliwych gazów, prowadzono rekultywację terenów, a my, leśnicy, badaliśmy, jakie drzewa się tu przyjmą i prowadziliśmy próby sadzenia drzew z hydrożelem, zapewniającym sadzonkom wilgoć. Prace te przyniosły pozytywny skutek.

Okazało się jednak, że na tym terenie nie przyjmą się ani żadne rodzime dęby, ani brzoza, ponieważ pod wpływem wiatru piasek na pustyni się przemieszcza. Nic nie rośnie. Przyjął się dąb czerwony.

Praca nad przywróceniem Pustyni Kaltenbacha drzewom zafascynowała mnie do tego stopnia, że podjąłem decyzję pozostania w leśnictwie. Postanowiłem zająć się fitopatologią, nauką o chorobach roślin, czynnikach je wywołujących, metodach i sposobach zapobiegania oraz ich zwalczania, ze szczególnym uwzględnieniem grzybów i ich symbiozy z drzewami. Z uczelni wyszedłem jako leśnik.

Po studiach podjąłem pracę jako nadzorujący prywatne lasy w powiecie pruszkowskim. Był to nadzór nad lasami i łowiectwem. W Pruszkowie pracowałem prawie osiem lat. W międzyczasie zostałem biegłym sądowym w zakresie leśnictwa, pielęgnacji i ochrony drzew. Wstąpiłem też do najstarszego stowarzyszenia w Polsce – Polskiego Towarzystwa Chirurgów Drzew – i obecnie zasiadam w jego zarządzie.

Chirurg to pielęgniarz. Jeśli mamy w drzewie jakiś ubytek, to chirurg zajmuje się oczyszczaniem tego ubytku. Jeśli mamy jakieś zagrożenie ze strony drzewa, chirurdzy drzew podejmują decyzję, w którym miejscu i jakie wiązanie, jakie podpory czy odciążenia zastosować. Co odciąć, ile zostawić.

W naszej Lesznowoli trochę brakuje tego nacisku na troskę o przyrodę. Podam taki przykład. Chciałem obronić dwie topole, które rosły w pobliżu naszego domu. Wiedziałem, że Lesznowola się rozbudowuje, że powstają nowe osiedla i przewidywałem, że to może tym drzewom zagrażać. Zgłosiliśmy je jako pomniki przyrody. Niestety, mimo że przygotowaliśmy całe opracowanie, to topole o obwodzie pni ponad 400 cm obronić się nie udało. Uznano je za gatunki nierodzące.

Jedno z tych drzew rośnie do dziś, drugie wycięto. Pojawiły się budynki i ich mieszkańcom topola przeszkadzała.

Gdy zostałem członkiem Polskiego Towarzystwa Chirurgów Drzew, poszedłem jeszcze dalej. Wstąpiłem do działającego od 1951 roku Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa.

Zostałem też rzeczoznawcą do spraw ekologii i ochrony środowiska przy radzie społecznej w Warszawie. Pracowałem jako kierownik ochrony środowiska w Brwinowie, Podkowie Leśnej i Milanówku, który jest miastem-ogrodem.

W Milanówku miałem pod opieką dwieście osiemdziesiąt sześć pomników przyrody. I to jest bardzo ciekawe i powinno być przykładem dla innych miast. Milanówek nie jest dużym miastem, a ma tyle pomników przyrody, bo ludzie tego chcą. Sami zgłaszają drzewa, które według nich na takie tabliczki zasługują.

U nas i w wielu innych gminach ludzie tego nie robią, bo się boją. Drzewo pomnik jest chronione prawem. Jest otoczone szczególną opieką. Obok niego nie będziemy mogli niczego budować. Ale są i plusy. Pielęgnacja drzewa z tabliczką „pomnik przyrody” spada na władze gminy.

Zaskakujące, ale prawdziwe

– Czym jako leśnik i dendrolog zajmuję się na co dzień? Przede wszystkim bardzo dużo jeżdżę, bo pracuję w terenie. Zajmuję się sporządzaniem ekspertyz dendrologicznych dla sądów i policji. Nie tylko wtedy, gdy ktoś zetnie drzewo, ale także wtedy, gdy z udziałem drzewa wydarzy się wypadek.

W tym roku na przykład był wypadek w Parku Praskim. Opowiem o nim, bo to ciekawe i tragiczne zdarzenie.

W Parku Praskim na ławce pod drzewem siedziała niczego nieprzeczuwająca rodzina. Mąż, żona i małe dziecko, mające niecały rok w wózku. W chwili, gdy ojciec dziecka rozmawiał przez telefon, z drzewa ułamał się konar. Spadł na matkę i dziecko w wózek. To był śmiertelny wypadek. Konar zabił dziecko. Matka została kaleką.

Jako ekspert pojechałem na miejsce zdarzenia i wziąłem kawałek drzewa do ręki. Było jak gąbka. Podejrzewam, że gdy konar się łamał, rodzina nawet tego nie słyszała. To, że konar był jak gąbka, sprawił grzyb – żagiew łuskowata. Jeden z najgroźniejszych pasożytów drzew liściastych.

W ciągu roku potrafi tak wpłynąć na drzewo, że traci ono całkowicie właściwości mechaniczne. Czy można temu zapobiec? Oczywiście, można, bo owocniki tego grzyba widać na korze drzewa. Grzyb jest widoczny na zewnątrz, a wewnątrz drzewa jest przewidywalny skutek jego działania. Po wypadku, jaki się zdarzył w Parku Praskim, została do odpowiedzialności pociągnięta jednostka konserwująca park.

Sprawcami wypadków, w których łamią się i padają drzewa, są na ogół grzyby, powodujące ich rozpad. Wina jednak ponoszą również ludzie, którzy nie dopełnili swoich obowiązków. Wiem to ze swoich doświadczeń w pracy.

W Warszawie miałem trzy śmiertelne przypadki, które zdarzyły się przez grzyby. W lesie na Kaszubach wiekowy buk też złamał się przez grzyby. Winowajcą był żółciak. Grzyb o dużym, jaskrawym kapeluszu w żółtym kolorze.

Inną ciekawą sprawą miałem w Wesołej pod Warszawą. Zostałem tam zatrudniony przez urząd miasta jako inspektor nadzoru do spraw pielęgnacji i ochrony drzew przy nadzorowaniu przesadzenia dwóch dębów.

Jeden dąb miał ponad trzysta centymetrów obwodu, a drugi prawie czterysta i składał się z dwóch pni. Trzeba było przesadzić te drzewa, bo przeszkadzały inwestorowi, który budował sklep. Urząd powiedział: „Dobrze, zgodzimy się na inwestycję, tylko musicie przesadzić dęby. I jeszcze jedno. Przesadzone dęby muszą się przyjąć. Jeśli się nie przyjmą, będzie do zapłacenia ogromna kara”.

Inwestor nie miał wyjścia. Wynajął dwa herkulesy, wielkie dźwigi, i zaczęły się przygotowania. Najpierw

trzeba było popodcinać system korzeniowy, bo karpa miała cztery i pół metra średnicy. Olbrzymia masa. Bryła korzeniowa miała około półtora metra wysokości. Dwa dźwigi jednocześnie podłączono pod jedno drzewo i powoli wyniosły je nad powierzchnię, i przesuwały mniej więcej piętnaście metrów na nowe miejsce.

Samo podnoszenie dębów trwało jakieś dwanaście godzin. Pracowało przy tym wielu ludzi. Na pniu były zamontowane specjalne stalowe obejmy, a na tym, który był rozgałęziony, na obu pniach, żeby zapobiec rozłamaniu. To były potężne konstrukcje, żeby to wytrzymały. Olbrzymia masa. Ale się udało.



...samo podnoszenie dębów trwało jakieś dwanaście godzin



...dąb jest moim zdaniem najbardziej szlachetnym gatunkiem naszych drzew

Dąb jest moim zdaniem najbardziej szlachetnym gatunkiem naszych drzew. Ma bardzo dobre właściwości, jeśli chodzi o zabliznianie ran. Ma taki mechanizm obronny, że jeśli utniemy coś, on się zablizni. Inaczej niż brzoza, która bardzo nie lubi cięć i która po cięciach będzie chorowała.

Mam bardzo duży sentyment do jesionów, chociaż i brzozy bardzo lubię. Teraz, ze względu na zmianę warunków wodnych, brzozy wypadają. Choć nie potrzebują dużo wody, są bardzo wrażliwe na jej obniżenie.

Wystarczy, że jeden sezon zaleje działkę, podniesie się poziom wody i już brzoza sobie w żaden sposób nie poradzi. Albo padnie w tym samym sezonie, albo w następnym. Brzoza ma płytki system korzeniowy i przez to jest narażona na zmrożenie.

Dąb sobie poradzi, bo ma palowy system korzeniowy i jest gatunkiem bardziej odpornym. Jeżeli woda zaleje teren dookoła brzozy, to pojawia się szkodnik wtórny, którym na przykład jest ogłodek brzozowiec. Mały chrząszcz z rodziny kornikowatych, który w korze nakłuwca rządki zabójczych dla brzozy dziurek.

Jako dendrolog tym wszystkim się zajmuję. Dendrologia bowiem to jest dział botaniki zajmujący się zieleńią wysoką.

Aby sporządzić ekspertyzę, korzystam z urządzeń, aparatów do badania i prześwietlania drzew. Jedno z nich to tomograf akustyczny Arborsonic. Jest to urządzenie, które bez niszczenia drzewa potrafi wewnątrz pnia określić wielkość i położenie obszarów w stanie rozkładu lub pustych. Metoda opiera się na pomiarach

prędkości dźwięku pomiędzy kilkoma czujnikami rozmieszczonymi dookoła pnia.

Nabijam osiem czujników wokół pnia drzewa i wykrywam pustki. I chociaż ich nie widzimy na zewnątrz, to w obrazie w 3D wiemy, jak wygląda pień w środku. Dzięki temu określam procent rozłożonego pnia i ryzyko wyłamania drzewa. Jeśli z symulacji wynika, że drzewo zagraża otoczeniu, to podejmuję decyzję o tym, co zrobić. Czy i o ile zredukować część drzewa, jakie zastosować ewentualnie wiązania – przewiertowe czy linowe, by zapobiec rozłamaniu i drzewo uratować.

Drugie urządzenie służy do badania stabilności drzewa w gruncie. I tu znowu montujemy przy nasadzie pnia czujniki i dziesięciometrowy maszt. Badamy sygnał, jaki przez wiatr działający na maszt jest wysyłany do drzewa i w drugą stronę, bo mamy też czujniki na drzewie. W ten sposób badamy odchylenie pnia podczas rzeczywistego działania wiatru.



fot. z archiwum prywatnego T. Łyszczka

Pasje

– Moją pasją jest to, co robię. W pracy naprawdę odpoczywam, relaksuję się. Mam świadomość, że to, co robię, robię dobrze. Papier ma to do siebie, że wszystko przyjmie, ale później, jakby coś się wydarzyło, są konsekwencje, więc wszystko trzeba robić z wyczuciem i namysłem.

Jak powiedziałem – kocham las. Lubię pojechać do lasu, chodzić po lesie i odpoczywać. Lasy iglaste, których jest najwięcej w Polsce, działają odprężająco, wpływają pozytywnie na układ odpornościowy, nerwowy i krążenie. Jak ktoś ma reumatyzm czy alergię, dobrze mu zrobi chodzenie po lesie.

Ponieważ lubię las, chcę jak najwięcej ludzi tą miłością do lasu zarazić. Na razie zacząłem oprowadzać po lesie naszych przedszkolaków. Spotkałem się też z czytelnikami w bibliotece gminnej w Mrokowie i opowiadałem o lesie. Spodobało mi się to dzielenie się wiedzą o lesie, szczególnie na spotkaniach z dziećmi, bo dzieci są nieprzewidywalne. Często zaskakują.

...drzewa, tak jak ludzie, wymagają pielęgnacji, opieki i lekarzy

Chcę takie wyjścia do lasu organizować o każdej porze roku, żeby dzieci miały obraz pór roku i widziały, jak las się zmienia.

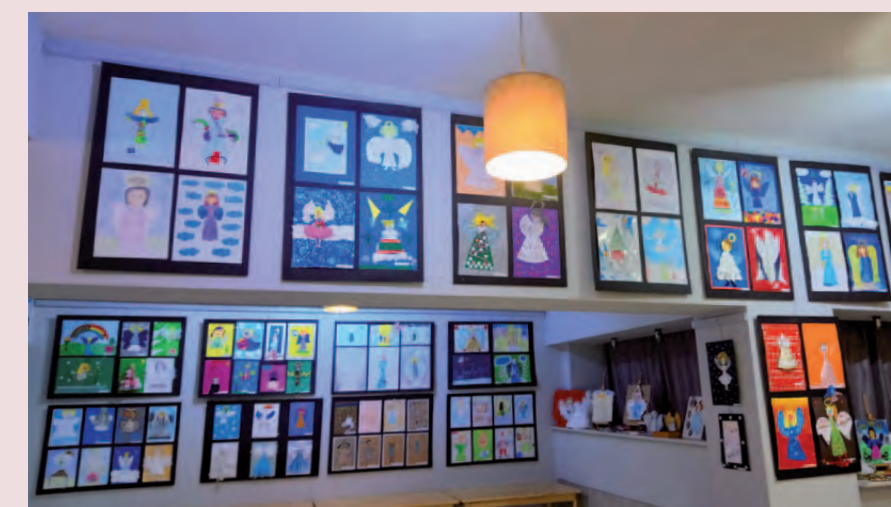
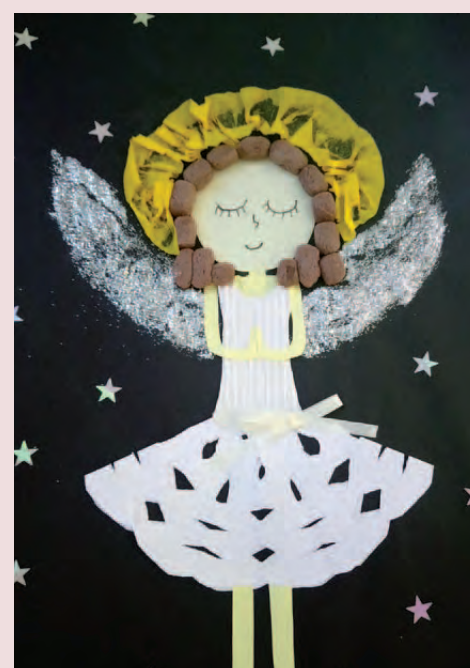
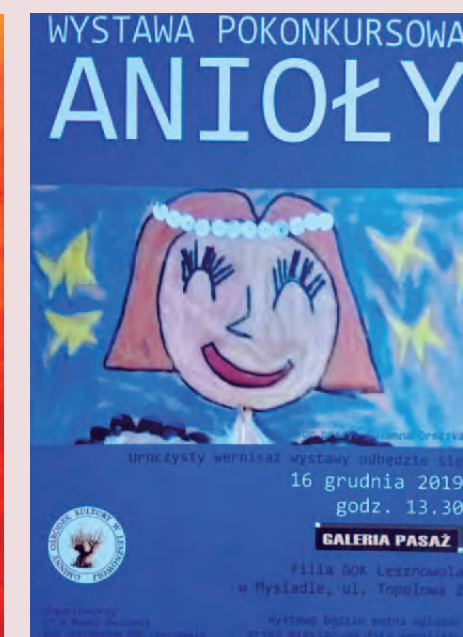
Zastanawiałem się też nad jakąś publikacją związaną z grzybami, stricte z pasożytami, bo w Polsce nie ma takiej publikacji. Chcę coś takiego napisać, żeby osoby, które się zajmują zielenią w miastach, w gminach miały jakąś świadomość. Często idą, widzą na drzewie grzyb, mówią: „huba” i idą spokojnie dalej. A jak wynika z moich doświadczeń, drzewa z grzybem często kończą tragicznie i stanowią wielkie zagrożenie dla ludzi.

W Ostródzie jest potężny dąb. Pomnik przyrody. Nazywa się Napoleon. Podobno po stoczonym bitwie cesarz Francuzów pod nim odpoczywał. Od trzech lat sprawuję nad nim nadzór dendrologiczny. Ponieważ w pobliżu była wybudowana obwodnica Ostródy, to Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zleciła mi taki nadzór. Dwa razy w roku jeżdżę do swojego pacjenta.

Gatunki chronione to nie tylko ptaki, rośliny, zwierzęta czy grzyby, które mamy w drzewach, ale też owady, takie jak na przykład chrząszcz pachnica dębowa, znany też jako pachnica próchniczka – relikwiarz pierwotnych, ściśle związany ze starymi, dziuplastymi drzewami. W Polsce bardzo często występuje nie na dębie, lecz na wierzbie, i jak we wszystkich innych państwach, w których występuje, podlega ochronie prawnej.

Gdy w naszym sejmie została przegłosowana ustawa, pozwalająca na wycinkę drzew, i ludzie masowo sięgnęli po piły i siekiery, zastanawiałem się, jak bronić drzewa.

Wymyśliłem wtedy, że pójde studiować ornitologię. Studia zrobiłem w Centrum Doradztwa Rolniczego w Brwinowie i zostałem ekspertem przyrodniczym z zakresu ornitologii. To mi pozwoliło bronić drzewa, bo zawsze mogły na nich gniazdować chronione gatunki ptaków. Chroniąc ptaki, chronię drzewa. Mało kto bowiem wie, że jeśli dajemy zgodę na wycięcie dużego dębu czy starego buka, to aby zrekompensować powstałą stratę, trzeba by posadzić około tysiąca siedmiuset młodych, dziesięcioletnich drzew, żeby wytworzyły tyle tlenu, co to jedno stu czy stu pięćdziesięcioletnie stare drzewo. Zanim weźmie się do ręki pilę czy siekiere, warto o tym wszystkim pomyśleć. ■



Do filii Gminnego Ośrodka Kultury w Mysiadle po raz ósmy zlecały się piękne anioły. Tym razem było ich ponad dwieście. Jan Drewicz z GOK, otwierając wystawę, podkreślił, że miał ogromną przyjemność być jej opiekunem, bo mógł z perspektywy kilku lat obserwować, jak zmienia się młode pokolenie. – Gdy ja byłem w wieku tych wszystkich młodych artystów, to tak jak oni anioła bym nie przedstawił.

Proponujemy zatem obejrzeć prace, bo nie jest ważne, która z nich była najlepsza. To oceniło i nagrodziło jury. My gratulujemy wszyst-

kim twórcom, gdyż każdy anioł w wyobrazeniach dzieci był piękny i każdy inny.

Przy okazji ósmej edycji konkursu na prace o aniołach, której hasłem tym razem były „Świąteczne anioły”, wspomniano i nagrodzono brawami pomysłodawców konkursu, nauczycieli świetlicowych z Zespołu Szkół Publicznych w Nowej Iwicznej śp. Marka Ciężkowskiego i panią Małgorzatę Woźniak-Kłodę, która kontynuuje anielską tradycję.

Nagrodzonym, uczestnikom konkursu i organizatorom serdecznie gratulujemy. ■

Noszę w sobie dziecko

fot. Katarzyna Chrzanowska-Koziol

Od razu uspokajam, że nie będzie to sensacyjna opowieść o mężczyźnie, który zostanie matką. Będzie to opowieść o autorze maila, który na pytanie, czy ma dzieci, odpowiedział:

– Dzieci swoich jeszcze nie mam. Liczę na to, że kiedyś się pojawią, ale póki co, noszę w sobie dziecko. I być może, pisząc książki dla dzieci, zaspokajam potrzebę tego dziecka, które gdzieś tam we mnie jest. Zawsze lubiłem książki dla dzieci i zawsze lubiłem książki przygodowe, ale moja pierwsza książka była książką dla dorosłych – powiedział Marcin Koziol.

Niespodzianka

– Gdy byłem nastolatkiem i miałem jakieś piętnaście czy szesnaście lat, pisałem książki dla dorosłych. Teraz jako dorosły piszę dla dzieci i młodzieży. To może zabawne i niewiarygodne, ale naprawdę te role w moim życiu się odwróciły. Jak to się stało – opowiem.

– Bardzo wcześnie, dzięki mojemu tacie, który był informatykiem, specjalistą w dziedzinie programowania, zacząłem poznawać komputery i nauczyłem się programować. Tata programował na komputerach ZX Spectrum, które były tak naprawdę mikrokomputerami domowymi pro-

dukowanymi w 1982 roku. Na tych komputerach nauczył mnie programować i stracił nade mną kontrolę, bo pojawiły się multimedialne komputery marki Amiga i ja poszedłem w ich stronę. Na amigach tata już się nie znał, więc nie bardzo interesował się tym, co robi jego nastoletni syn.

A ja robiłem swoje jak w transie. Programowałem, pisałem, wysyłałem wydruki komputerowe do różnych wydawnictw i... pewnego dnia na półce w księgarni zobaczyłem moją książkę. Zamiast się ucieszyć, byłem wściekły. Wróciłem do domu i napisałem list do wydawnictwa z prośbą o wyjaśnienie.

W redakcyjnej poczcie po listopadowym wydaniu „mojej Lesznowoli” znaleźliśmy taki mail:

„Dzień dobry, jestem mieszkańcem osiedla Krzywa Iwiczna. Dopiero dzisiaj – zupełnie przypadkiem – odkryłem Państwa magazyn. Naprawdę interesująca treść i piękna oprawa fotograficzna. Gratuluję!

Jestem pisarzem dla dzieci i młodzieży, autorem lektury szkolnej „Skrzynia Władcy Piorunów”. Gdyby byli Państwo zainteresowani rozmową ze mną, zapraszam do kontaktu”.

– Byliśmy zainteresowani.

Po pewnym czasie do naszego domu zapukał pan z wielkim pudłem książek i z gotowymi do podpisania umowami na ich wydanie.

Tata był bardzo zdziwiony. Nie bardzo wiedział, co o chodzi. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że nieznajomy przywiózł mu autorskie egzemplarze książek, bo wiedział, że żadnej swojej pracy do wydawnictwa nie wysyłał. I wtedy, w tej kłopotliwej sytuacji, wkroczył ja. Wyszedłem z pokoju i powiedziałem, że te książki są dla mnie.

Tata zrobił wielkie oczy. Jeszcze większe zrobił pan z wydawnictwa, bo do obu dorosłych dotarło, że autorem książek jest mały, chudziutki piętnastolatek. To było wydawnictwo

Parma Press z Wrocławia, które wydawało książki komputerowe. Być może w przyszłym roku, po dwudziestu siedmiu latach od tamtego dnia, ukaże się wznowienie mojej pierwszej książki o komputerach i programowaniu.

W tym miejscu przyznam się, że jestem kolekcjonerem starych komputerów. Mam ich sto pięćdziesiąt. Są to komputery sprzed trzydziestu, czterdziestu lat i wszystkie działają. W książce „Szalona historia komputerów” jest moje zdjęcie, gdy siedzę przy komputerze ZX Spectrum. Miałem wtedy zaledwie siedem lat.

„Najpierw przysłało mnie do komputera. A potem wessało. I to na dobre! A dlaczego mówią na mnie „docent”? Bo jak ktoś trafi do środka komputera, to wie o nim wszystko. I o innych komputerach też. I o internecie. Jak docent. A może nawet profesor. Tak twierdzi tata” (cytat pochodzi z książki „Szalona historia komputerów”).

Ta książka przenosi dzieci w świat pierwszych komputerów. Nie jest podręcznikiem, tylko raczej zbiorem anegdot i ciekawostek o tym, jak było. Na przykład o tym, skąd się wzięła myszka i że na początku była drewniana. Jak powstał radosny



patyk, czyli joystick, jak się dawniej pisało i jakie były pierwsze gry komputerowe. Tak się zaczęła moja przygoda z pisaniem.

Książka okazała się całkiem dużym sukcesem. Potem ukazała się druga i kolejna. Dzięki tym książkom dostałem stypendium i wyjechałem do Gordonstroun, szkockiej szkoły średniej. Szkoła była znana z tego, że stała się pierwowzorem Hogwartu, czyli szkoły wymyślonej przez J.K. Rowling, autorkę Harry'ego Pottera.



Można powiedzieć, że skończyłem Hogwart przed Harrym Potterem, bo on się pojawił pod koniec lat dziewięćdziesiątych, a ja szkołę skończyłem brytyjską maturą w 1996 roku.

Dziś z moją „Szaloną historią komputerów” i kilkoma komputerami z mojej kolekcji byłem na spotkaniu z uczniami liceum, bo często mam takie autorskie spotkania. Zaglądaliśmy razem do wnętrza staruszka ZX Spectrum, zachwycałiśmy się commodorem, graliśmy w gry komputerowe na atari i rozmawialiśmy o tym, jak bardzo daleko jesteśmy od tamtych czasów.

Niezwykła szkoła

– Szkoła w Gordonstroun jak na liceum była szkołą niezwykłą. Skosztowałem w niej teatru, ucząc się od reżyserów kształconych w Oxfordzie, którzy mieli zupełnie inne spojrzenie na to, jak można wyrażać siebie. Nie chodziło o to, żeby uczniowie zostawali profesjonalnymi aktorami czy reżyserami, o czym zresztą nigdy nie myślałem, lecz o to, żeby rozszerzyć swoje umiejętności twórcze. I ta szkoła mi to dawała.

Po drugie, była to szkoła życia. Byłem w niej pierwszym i jedynym Polakiem. Nie było jeszcze telefonów komórkowych, więc do zaniepokojonych o losy jedynaka rodziców dzwoniłem raz na tydzień z budki telefonicznej.

Do mojej klasy chodził najstarszy wnuk królowej Wielkiej Brytanii, Elżbiety II, dzięki czemu miałem okazję poznać i spotkać na prywatnej audyencji królową i jej męża, księcia Filipa. To spotkanie z królową Elżbietą II będę pamiętał do końca życia, bo było ono zabawne i straszne zarazem.

Mój szkolny departament teatralny został wyznaczony do zrobienia przed parą królewską małej inscenizacji. A ponieważ przed wizytą pary królewskiej wszystkie podłogi w szkole były wypucowane na wysoki połysk, podczas inscenizacji pośliznąłem się i wylądowałem u stóp

Jej Wysokości Elżbiety II. Możecie sobie wyobrazić, jaki byłem przerażony. Wszyscy zamarli. Tylko królowa nie okazała emocji. Zachowała się jak troskliwa babcia.

Gdy skończyliśmy występ, poszła do nas, zaczynając ode mnie, i zapytała, skąd jestem. Powiedziała, żebym się nie martwił, bo nic się nie stało. To było piękne i urocze doświadczenie. Królowa jak kochana babcia czuła, że musi mnie troszeczkę dopieścić i pocieszyć.

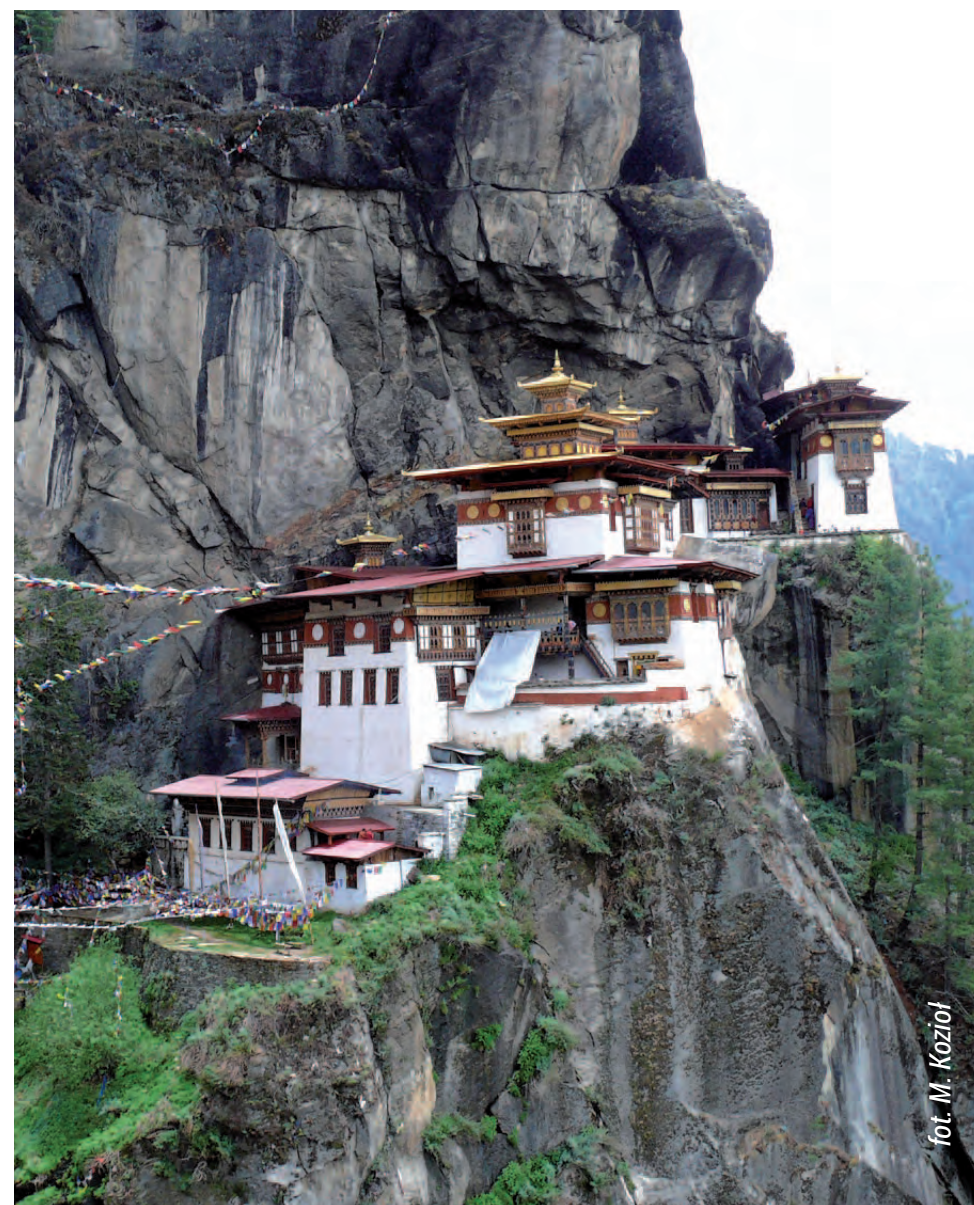
Dwa lata, które spędziłem w Szkocji, pozwoliły mi poznać ludzi z całego świata. Jadąc tam, znałem język angielski na tyle, na ile można się go było w polskiej szkole

nauczyć. Wystarczyło, żeby się porozumieć. Ale tak naprawdę, żeby przygotować się do matury z dramaturgii, matematyki i paru innych przedmiotów, musiałem uczyć się na miejscu od Szkotów i Anglików, którzy mówili z akcentem mocno szkockim.

Szkocja to była niesamowita przygoda w moim życiu. Sprawiała, że otworzyłem się na świat, zapragnąłem go zwiedzać i poznawać ludzi. Poznałem tam wielu przyjaciół, w tym przyjaciół z Azji. I do Azji właśnie zapalałem szczególną miłością. Teraz jest to dla mnie kontynent, na który bardzo, bardzo często wracam.



fot. z archiwum prywatnego M. Kozioła



fot. M. Kozioł



...akcja moich książek rozgrywa się w miejscach, w których byłem

Z kamerą i aparatem fotograficznym zwiedziłem jakieś sześćdziesiąt krajów. Przez wiele lat byłem dziennikarzem, potem menadżerem w koncernach wydawniczych, między innymi dyrektorem mediów elektronicznych w National Geographic Polska. W pewnym momencie zmieniłem pracę i ta zmiana zmusiła mnie do spędzenia jakichś trzech czy czterech miesięcy w domu. Nie spędziłem ich jednak w domu. Pojechałem do Indii i przejechałem je pociągiem.

Kluczem do mojego pisarstwa są moje pasje. Mam ich wiele, a jedną z nich są podróże.

Maksymilian Wombat

– Kim jest Maksymilian Wombat? Wymyślona postać. Sympatycznym, urodzonym w Australii zwierzęciem, z pomocą którego opowiadam o swoich podróżach – mówi Marcin Kozioł. – Są to książki „dla młodych odkrywców i podróżników”, o czym informuję na okładce.

Akcja moich książek rozgrywa się w miejscach, w których byłem, tyle tylko że opowiadam o nich i patrzę na nie oczami małego wombata Maksa – Maksymiliana. To wombat zwiedza świat, przeżywa niesamowite przygody, a my przy okazji razem z czytelnikiem odkrywamy kulturę i zwyczaje ludzi żyjących w różnych miejscach.

„...nie myśl sobie, że to będzie bajka o wombatkach, smokach i królach... Ani trochę. Wszystko, co opowiem o miejscach, które widziałem, zwierzętach i ludziach, których spotkałem, zwyczajach, które poznałem – to prawda!”

Moje książki są interaktywne. Dzięki stronie (wombatmaksymilian.pl) i ukrytym w książce kodom czytelnik może przenieść się w miejsce akcji. Jeśli akcja jednej z książek, bo jest ich wiele, rozgrywa się w Himalajach, to z bohaterem książki możemy przenieść się w telefonie albo na komputerze w miejsce akcji i zobaczyć dokładnie, jak to miejsce wygląda.



fot. z archiwum prywatnego M. Kozioła

...z kamerą i aparatem fotograficznym zwiedziłem jakieś sześćdziesiąt krajów



fot. M. Kozioł

...w siodle przejechałem Gruzję i Mały Kaukaz

„Na kartach tej książki specjalnie dla Ciebie, drogi Czytelniku, ukryłem tajne kody. Oczywiście, nie są tak całkiem tajne ani tak bardzo ukryte, bo chciałem, żebyś je zauważył. Ale tylko wtajemniczony czytelnik z nich skorzysta” („Wombat Maksymilian i Królestwo Grzmiącego Smoka”).

W ten sposób młody czytelnik, który kocha nowe technologie i nie rozstaje się ze smartfonem, sięga po książkę, bo zauważył, że zawiera ona interaktywne elementy i ciekawostki. Może to też działać w drugą stronę. Ktoś kocha książki podróżnicze, sięga po nie i odkrywa interaktywne elementy.

Żeby napisać książkę „Wombat Maksymilian i misja na dachu świata”, latałem parolotnią w Himalajach, motolotnią w okolicach Annapurny i w centralnym Nepalu oraz odrzutowcem w stronę Mount Everestu. Nakręciłem filmy, które pokazują dzieciom w szkołach, bo zdjęcia lotnicze do tych książek dokumentują to, o czym piszę. Książka to nie tylko tekst, ale też zdjęcia, które podczas swoich podróży zrobiłem.

Moje książki podróżnicze są pamiętnikiem moich przygód. Z Bhutanu – Królestwa Grzmiącego Smoka, z Nepalu i z Chin. Ta ostatnia ma tytuł „Wombat Maksymilian i rodzina w tarapatach”.

„Taki mur jest tylko jeden. Wielki Mur Chiński. Nazwa sygnalizowała. To najdłuższa budowla na świecie. Przed wiekami nazywano go Długim Murem albo Murem Dziesięciu Tysięcy Mil Chińskich. Nazwa sygnalizowała, że ciągnął się i ciągnął, a dziesięć tysięcy wydawało się wtedy jak nieskończoność”.

Wspomniałem, że mam wiele pasji. Kolejną z nich są konie. Pan pewnie nie wie, ale właśnie siedzimy sobie w domu, który należał do znanej wielu ludziom pana telewizyjnej koleżanki, Katarzyny Dowbor.

Kasia zaraziła mnie pasją do koni. Dzięki niej zakochałem się w konnej

jeździe do tego stopnia, że w siodle przejechałem Gruzję i Mały Kaukaz. Razem z Kasią napisaliśmy trzy książeczki o koniach, które również zawierają elementy interaktywne – filmiki, na których Kasia opowiada o koniach.

Tu jest „Skrzynia władcy piorunów”. Książka, która została lekturą dla uczniów od czwartej do szóstej klasy. Jest ona efektem moich fascynacji książkami przygodowymi, sensacyjnymi i nauką. Kryminał, powieść przygodowa oparta na historii Nikoli Tesli, wielkiego inżyniera, wynalazcy, który był konstruktorem wielu urządzeń do wytwarzania



i wykorzystania prądu przemianowego. Czytając ją, młodzi ludzie uczą się łamać szyfry, dedukować, rozwiązywać zagadki, odkrywać tajemnice i mądrze wybierać sojuszników.

Z moim kolegą i sąsiadem, Bartkiem Jędrzejakiem, znanym z ekranu TVN sympatycznym prezentem pogody, napisaliśmy serię książek o pogodzie. Bohaterami książki są młode puchaczki i ich przygody przez cztery zmieniające się pory roku. Ponieważ moje książeczki są

– jak wspominałem – interaktywne, Bartek nakręcił do nich filmy, w których tłumaczy zjawiska pogodowe.

Czy już opowiedziałem wszystko o sobie? Pewnie nie. Dodam więc, że uwielbiam spacerować po lesie i obcowanie z naturą. Lubię moje spotkania autorskie i bezpośredni kontakt z młodymi czytelnikami. Kocham miejsce, do którego wracam z moich podróży.

Krzywą Iwiczną znalazła moja żona, która jest moim menedżerem i bardzo się w tej roli sprawdza. Szukaliśmy większego mieszkania i któregoś dnia żona wypatrzyła informację, że tu są do kupienia domy. Gdy przyjechaliśmy na osiedle, było ich chyba ze trzydzieści. Jedna uliczka i ratusz.

Zakochaliśmy się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia, bo jest ono magiczne. Architektura i ludzie. Po pierwsze, było tak inne od Warszawy, która męczyła nas widokiem bloków, a po drugie, pierwszego dnia, kręcąc się po osiedlu, spotkaliśmy nieznanymi ludźmi, którzy zaprosili nas do siebie na herbatę i opowiadali nam o osiedlu. To nas urzekło.

Marcin Kozioł ukończył studia magisterskie na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zdobył również dyplom Master of Business Administration Oxford Brookes University i Polish Open University. Jest stypendystą Towarzystwa Szkół Zjednoczonego Świata i British Science Association. ■



fot. Katarzyna Chrzanowska-Kozioł



fot. Katarzyna Chrzanowska-Kozioł



„Im mniej cię co dzień, miodzie – Tym mi smakujesz słodziej: I słońcem i księżycem, Rozkoszą nienasyceń, Szczodrością moich dni – Dziękuję ci” – napisał Jacek Kaczmarski w utworze pt. *Jan Kochanowski*. Wybrałem z pośród wielu cytatów o miodzie pitnym ten, bo spotkanie z Leonardem Kolasą, hodowcą pszczół, zaczęliśmy od rozmowy o miodzie.

– Nie, nie, to nie jest miodóweczka, jak pan powiedział – skarcił mnie pan Leonard. – To jest miód pitny. Taki, jaki pijała dawniej szlachta, jaki pijał Sienkiewiczowski bohater Onufry Zagłoba. Miodówka to nalewka, wódka na miodzie. Natomiast miód pitny to jest wino. Powstaje w wyniku fermentacji syty, czyli roztworu miodu pszczelego w wodzie.

Trójniak i inne

– Zależnie od proporcji miodu i wody otrzymujemy różne miody pitne. Półtorak, dwójniak, trójniak i czwórniak. Ten, którego pan próbował, to był trójniak. Powstał z syty, która była sporządzona z dwóch części wody i jednej miodu. Dwa plus jeden to trzy. Sytę z różnymi dodatkami poddaje się długiej fermentacji i powstaje miód pitny – opowiada pan Leonard.

– Te dodatki to przede wszystkim specjalne drożdże winiarskie, które fermentują przy dużym stężeniu cukru, bo miód słabo fermentuje, chyba że jest mocno rozcieńczony. Drożdże wymagają jeszcze pożywki. Potrzebują do życia azotu. W miodzie azotu nie ma, ale zawiera go fosforan amonu, który dostarcza drożdżom azotu do budowy białka.

Roztwór trzeba do smaku dokwasić kwasem cytrynowym, broń Boże nie octem. Ocet jest kwasem lotnym i daje zapach, który mógłby zabić zapach miodu. Nie można też użyć do zakwaszenia soku cytrynowego, bo po pierwsze musiałoby go być dużo, a po drugie otrzymalibyśmy miód owocowy.

Podsumujmy. Do zrobienia syty potrzebne są: miód, woda, kwas cytrynowy, drożdże winiarskie i pożywka dla nich.

I jeszcze jedna uwaga. Słodycz miodu zabija wszystkie poboczne smaki. Daje – jeśli tak mogę powiedzieć – zapach pszczeli. Jeśli się miód rozcieńczy, a potem przefermentuje, to cukier spada i zaczynają pojawiać się jakieś goryczki, owocowe i kwiatowe nuty. Tego nigdy nie można przewidzieć, bo to są nuty niepowtarzalne. Smak miodu pitnego otrzymywanego w warunkach domowych jest niepowtarzalny. Zależy od tego, jaki miód biorę jako bazę. Na przykład biorę miód nawłociowy.

W czasie kwitnienia nawłoci kwitną różne rośliny. Jedne pszczoły lecą do nawłoci, a inne do pozostałych kwiatów i to ma wpływ na smak i zapach miodu. Są to różne nuty i tego nie można ani zaprogramować, ani przewidzieć.

**...miodówka to nalewka,
wódka na miodzie. Natomiast
miód pitny to jest wino**

Przy szklaneczce trójniaka



Miody pitne mogą być sycone i niesycone. Co to znaczy sycone?

Wodę się gotuje, piwo warzy, a miód syci. W odpowiedniej temperaturze zabija się w nastawie wszystkie dzikie drożdże, drobnoustroje i bakterie hamujące fermentację i o takim miodzie mówimy, że jest sycony.

Miody mogą być też korzenne, to znaczy z dodatkiem na przykład cynamonu, wanilii, chmielu, goździków, owocowe, z dodatkiem soków owocowych, i miody bez dodatków, czyli panieńskie lub dziewicze. Ten, którego pan próbował, to był trójniak, sycony, panieński.

Czas fermentacji miodu jest zależny od użytych proporcji wody i miodu. Trójniak fermentuje około roku. Półtoraki i dwójniaki nawet po kilka lat.

Nie wiem, jaki miód pił Onufry Zagłoba, ale na pewno nie był to czwórniak, bo czwórniak to cienkusz, a Zagłoba na szlachcica pijącego cienkusz nie wyglądał.





*...mam dużo uli,
bo sam je robiłem*

Moje pszczelarstwo

– Zacznę od początku. Urodziłem się w Dąbiu nad Nerem wpadającym do Warty. Dąbie to miejscowość na trasie nowej autostrady między Warszawą a Poznaniem. Tam, gdzie drogi idą na Uniejów i Kłodawę. Na obrzeżach Dąbia były gospodarstwa rolne, a wśród nich gospodarstwo moich rodziców. Hodowali krowy i odstawiali mleko do mleczarni.

Ponieważ w latach 50. spółdzielnie mleczarskie miały zadanie szerzenia postępu na wsi, któregoś dnia ojciec dostał w mleczarni książeczkę z serii *Biblioteka Rolnika*. Było to *Praktyczne pszczelarstwo* wydane w 1956 roku przez Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne. Autorami książki byli St. Brzusko i J. Guderska. Mam tę książkę do dziś. Czytałem ją wiele razy. Pierwszy raz, gdy nauczyłem się czytać.

Z wykształcenia jestem technologiem rolno-spożywczym po Wyższej Szkole Rolniczej, która z czasem została przemianowana na Akademię Rolniczą im. Augusta Cieszkowskiego, a dziś jest Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu.

Mój tata, wychowany nad Wartą, też miał pszczoły. Tam w wielu gospodarstwach były tak zwane kószki lub bezdenka, ule w kształcie dzwonu wykonane z plecionej słomy, ustawione na podłożu stanowiącym jednocześnie zamknięcie czy podstawę ula. Te pierwsze ule bardzo swoim wyglądem przypominały gliniane dzbany stosowane do hodowli pszczoł w starożytnym Egipcie.

Gdy kończyłem czternaście lat, poszedłem z domu do szkół i moje chłopięce marzenia o własnych pszczołach musiały poczekać na odpowiedni czas.

Najpierw była Łódź i ogólniak. Potem wspomniana WSR, czyli Wyższa Szkoła Rolnicza i studia na wydziale technologii rolno-spożywczej w Poznaniu. Po studiach dostałem pracę w Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Tarczynie i przez całe siedemnaście lat mieszkaliśmy z żoną Alicją w zakładowym bloku w Tarczynie.

Gdy 13 grudnia 1981 roku wprowadzono w Polsce stan wojenny, byłem szefem produkcji w przetwórni, a w naszym zakładzie, tak jak wszędzie w tym czasie, oko na wszystko mieli wojskowi komisarze. Spośród



kadry kierowniczej codziennie ktoś inny był wyznaczany na nocne dyżury, które pełniliśmy w gabinecie dyrektora.

Gdy dyrektor kończył pracę, za jego biurkiem zasiadał dyżurny i siedział w gabinecie przez całą noc, odwiedzany od czasu do czasu przez wojskowego komisarza. Dlaczego w gabinecie dyrektora? Bo tam był wówczas jedyny czynny w zakładzie telefon – opowiada pan Leonard.

– Pewnie się pan zastanawia, co ta moja opowieść ma wspólnego z pszczelarstwem, więc już mówię. W gabinecie dyrektora były półki z książkami, a wśród

nich książki o pszczelarstwie. Siedząc na tych dyżurach, z przyjemnością je czytałem. W ten sposób wróciłem do mojego dziecięcego marzenia.

Pamiętam, że to czytanie o pszczołach tak mnie wciągnęło, że na wiosnę 1982 roku już miałem swoje pierwsze ule i pszczoły. Ponieważ byłem odczytany, ale bez praktyki, to poszedłem na praktykę do kolegi, który miał pasiekę.

Ule były u teścia, w gospodarstwie rodziców Alicji przy alei Krakowskiej w Łazach. Z Tarczyna przyjeżdża-

łem do moich pszczoł i przyznam po latach, że nie bardzo byłem zadowolony z ich lokalizacji, bo u teścia były konie, a pszczoły i konie to nie najlepsze zestawienie.

Pszczoły nie lubią zapachu końskiego potu i atakują, żądają konie. Zresztą, trzydzieści lat temu, były całkiem inne pszczoły. Mocne i waleczne.

Gdy dwadzieścia pięć lat temu dostaliśmy od teściów działkę pod własny dom, przenieśliśmy ule do siebie. Kupiłem od kolegi dwie pszczoły rodziny i tak się zaczęło. Na szczęście dla mnie w tamtych czasach nie było jeszcze warrozy, najgroźniejszej obecnie choroby pszczoł na całym świecie i w pasiekach na wszystkich kontynentach, z wyjątkiem Australii.

Do mnie ta choroba przyszła dopiero w drugiej połowie lat 80. Wtedy, pamiętam, wszystkie słabsze osobniki padły, ale po roku odbudowałem roje, bo już były środki do leczenia, i od tamtej pory – odpukać – wszystko jest dobrze.

W tej chwili mam dużo uli, bo sam je robiłem. Jak się robi ul samemu, to jest ciężki, bo solidny. Moje ule są typu wielkopolskiego, a ul wielkopolski to ul stojak, który różni się od innych tym, że jego ramki w kondygnacji gniazdowej i nadstawkowej mają jednakowe wymiary.

Pięć lat temu kupiłem sześć lekkich uli styropianowych i teraz część starych uli stoi pustych. Rodzin pszczoł zazimowanych mam w tej chwili czternaście, co wcale nie znaczy, że tyle ich będzie po zimie.





Raz już było tak, że zimę przeżyły tylko cztery roje i to nie dlatego, że zima była wyjątkowo ciężka.

Pszczoły są przygotowane do zimy. Osobniki, które wychowywały się w sierpniu, w dobrych warunkach są silne, przygotowane do zimowania i wychowywania pokolenia na wiosnę. Na czas zimy przerywają rozmnażanie. Ale jeśli zima jest łagodna, rozmnażanie odbywa się cały czas. Matka przez zimę czerwi i mocne pszczoły wychowują byle jaki, słaby czerw, a na wiosnę mamy taki rezultat, że z ula wychodzą osłabione matki, osłabione wychowywaniem czerwi pszczoły i słabe nowe pokolenie. Dlatego hodowcy stosują różne metody, które zniechęcają matki do czerwienia, ale to już wiedza dla pszczelarzy.

Dodam tylko, że najpierw jest jajko, potem larwa, poczwarka, a na końcu pszczoła. Wszystko jak w życiu zaczyna się od jajka i cały proces trwa dwadzieścia jeden dni, a czasem kilka dni dłużej.



Pod koniec kwietnia, gdy pszczoły wychodzą z uli, nie ma jeszcze dla nich zbyt wielu kwitnących roślin, czyli pożytków. Zaczynają kwitnąć śliwy i ałycze. Dopiero w maju jest ich więcej, bo kwitnie mniszek, zakwitają rzepak, potem akacje, lipy, a na końcu nawłóć. Ja mam dwa rodzaje miodu: wielokwiatowy i nawłociowy. Jest tak dlatego, że nie wędruję z moimi pszczołami, nie wożę ich w różne rejony, gdzie kwitną pożytki. Wystarczy mi tego, co mam.

O pszczołach i ich życiu, a także o ulach i właściwościach miodu mógłbym mówić długo. Ostatnio miałem na ten temat pogadankę dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Oczywiście najbardziej wszystkich interesowały właściwości lecznicze produktów pszczelarskich, takich jak miód, propolis, czyli kit pszczeli, pyłek i pierzga, czyli substancja zapasowa wytwarzana przez pszczoły z pyłku kwiatowego, mleczko pszczele i pszczeli jad. Ponieważ ludzie na ogół wiedzą, że najważniejszą wartością produktów pszczelich jest ich oddziaływanie biologiczne na cały organizm człowieka, to każdy chciał wiedzieć, co jest dobre na co, i ja to doskonale rozumiem. Przecież produkty pszczele były od wieków stosowane jako leki w różnego rodzaju dolegliwościach i dzięki temu mamy apiterapię, czyli jedną z dziedzin naturalnego sposobu leczenia.

Wyszedłem do ludzi

– Jak to się stało, że poszedłem na UTW? Szczerze powiem, że nie bardzo miałem ochotę. Gdy żona czasem mnie namawiała, bo sama chodziła na zajęcia, wyjeżdżała na wycieczki, na plenery, malowała i tkła gobeliny, nie bardzo mnie to ciągnęło. Nie miałem czasu. Ale gdy Alicja zmarła, nie potrafiłem dojść do siebie. Nie mogłem się z tym pogodzić. Zaszłyłem się w domu jak pustelnik.

Żona walczyła z chorobą nowotworową dwadzieścia pięć lat. Raz było lepiej, raz gorzej. Nie chcę wracać do tego, bo to bardzo boli. Odeszła w sierpniu ubiegłego roku. Pamięta pan, jaka była, bo w marcu 2017 roku rozmawiali państwo z żoną i pisali o jej pasjach.



Dwa lata temu żona pana Leonarda, pokazując nam swoje obrazy i gobeliny, powiedziała:

„Pasje w życiu są potrzebne. Ja mam swoją i mąż ma swoją – ule. Dzięki temu nie wchodzimy sobie w drogę. Jak wiozę swoje prace na wystawy, to on jest kierowcą i tragarzem, a ja mu za to pomagam upłynniać nadwyżki miodu wśród moich licznych koleżanek. Jeśli ma się pasję, to jest się czym zająć. Nie wyobrażam sobie, jak można nic nie robić i nie mieć pasji... To budujące, że coś pozostawię po sobie” (*Co w duszy gra*, „moja Lesznowola” nr 10).

– Alicja pozostawiła po sobie wiele prac, w tym nieskończone gobeliny, nad którymi pracowała, dokąd miała siłę i tak długo, jak pozwalała jej choroba. Niczego nie ruszyłem w pokoju, gdzie tkła ostatni gobelin, którego tematem były tulipany – mówi pan Leonard. – Osłoniłem go tylko, by się nie kurzył. Może kiedyś skończy go tkąć jej siostra Bożenna.

**...Alicja pozostawiła
po sobie wiele prac,
w tym nieskończone
gobeliny**

Było tak, jak mówiła. Nie wchodziliśmy sobie w drogę. Gdy zostałem sam, któregoś dnia przyszła do mnie sąsiadka i przekonała, że muszę wyjść do ludzi. Alicja na pewno by tego chciała. I to był impuls, że poszedłem na UTW. Zabrałem ze sobą slajdy i zrobiłem pogadankę o mojej pasji. O pszczołach i miodzie. ■

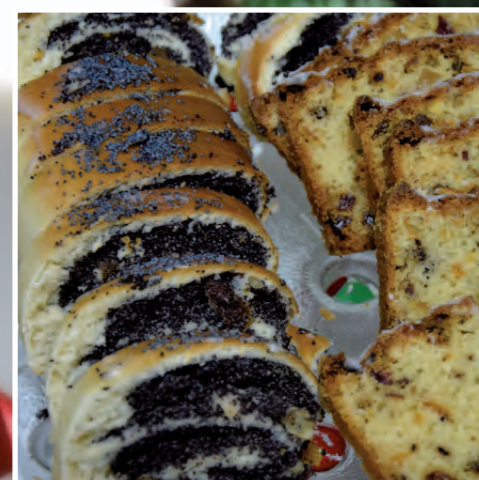


Na kilka dni przed świętami sprzedawcy oferowali produkty, które śmiało mogły trafić na bożonarodzeniowe stoły. Były śledzie w różnych smakach i pod różną postacią, kozie sery z dodatkami, pierogi nadziewane wędzonymi śliwkami, grzybami i kapustą, ekologiczne warzywa, jajka, miody, kiszona kapusta, pachnące pieczywo i zakwas, gdyby ktoś podjął się własnego wypieku. Były makowce i serniki, syropy i soki, a zaraz obok piękne ozdoby świąteczne, bombki i stroiki.

Na wszystko ze szkolnych ścian patrzyli Mikołaje.



Do tej inicjatywy organizatorzy, czyli Sołectwo Nowa Iwiczna, zdążyli już przekonać okolicznych mieszkańców. Z każdym kolejnym Iwicznańskim Targiem Pyszności przybywało klientów i sprzedających. Miejsce ostatniego w tym roku spotkania było nietypowe. Lokalni producenci rozstawili swoje małe stragany na korytarzach szkoły w Nowej Iwicznej. Grudniowa pogoda lubi zaskakiwać. Przy dobrze znanych dźwiękach kołęd roznosiły się kuszące zapachy. Największa kolejka ustawiła się do pachnących świeżym wędzeniem wędlin, kielbas i kabanosów.



Targ Iwicznański powstał z zapału i chęci organizatorów, którzy w pomyśle na ekologiczne spotkania zobaczyli potencjał. Skoro ekologiczne targi sprawdzają się na świecie, dlaczego nie miałyby znaleźć entuzjastów w Nowej Iwicznej? I choć jak sami mówią, nie jest łatwo, to jednak zapał potrafi pokonać wszystkie trudności.

Po klientach robiących zakupy i ich pełnych torbach widać było, że niektórzy zdążyli już poznać sprzedających i dobrze wiedzą, po co przyszli.

Trzymamy kciuki, żeby po zimnych miesiącach Iwicznański Targ Pyszności znowu rozbił swoje namioty w 2020 roku. ■

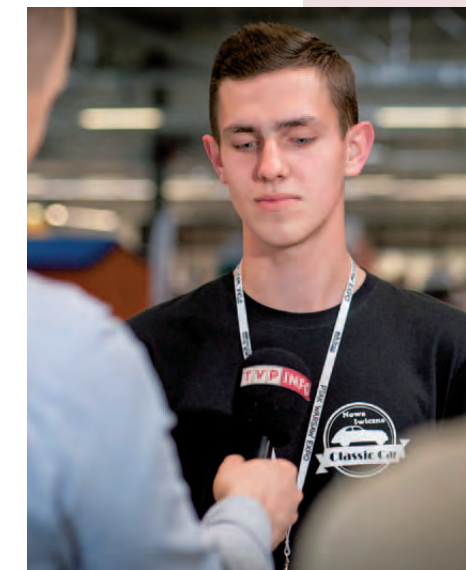


Patryka Classic Car



fot. z archiwum prywatnego P. Nachyły (x2)

Do redakcji zadzwonił pułkownik Krzysztof Klimaszewski. Człowiek doświadczony na misjach wojskowych w Syrii, Kosowie i Iraku. Świadek wojennych wydarzeń na wzgórzach Golan, w Babilonie i słynnej Karbali. – Wiem, że szukacie jak zawsze ciekawych ludzi z naszej gminy, i mam takiego chłopaka, którego warto poznać i przedstawić Czytelnikom. Cała rodzina wspiera jego pasję i cała rodzina mu kibicuje. Ja zresztą też. Ma siedemnaście lat i nazywa się Patryk Nachyła – powiedział pan Krzysztof. Obiecaliśmy, że z Patrykiem porozmawiamy.



Spotkaliśmy się jak zwykle w kawiarence „Źródło” w Nowej Iwicznej. Było w niej kilku chłopaków, którzy od razu wskazali nam siedzącego przy stoliku Patryka. Znali się ze szkoły w Nowej Iwicznej, do której chodził Patryk, dziś uczeń technikum samochodowego.

W pierwszych dniach kwietnia na stronach *Piaszczonews* czytaliśmy o tym, co robi Patryk. Internet ma to do siebie, że wszystko można w nim odnaleźć. I znaleźliśmy.

06.04.2019. „Już dziś na dawnym terenie Eko-Mysiadło przy ulicy Osiedlowej 2 w Mysiadle odbędzie się oficjalne rozpoczęcie sezonu Nowa Iwiczna Classic Car. Impreza, która zrzesza miłośników wszelakiej motoryzacji, rozpocznie się o godzinie 10.00. Oprawę muzyczną wydarzenia zapewni Big Band dla Frajdy. W programie nie zabraknie licznych atrakcji, wśród których znajdują się, między innymi konkursy i animacje dla dzieci.

– Zapraszamy serdecznie wszystkich miłośników motoryzacji! – zachęca Patryk Nachyła, organizator imprezy. Honorowym patronem Nowa Iwiczna Classic Car jest wójt gminy Lesznowola Maria Jolanta Batycka-Wąsik”.

Zaczął się od rowerów

– Mam siedemnaście lat, mieszkam w Nowej Iwicznej i chodzę do drugiej klasy Technikum Samochodowego im. Czesława Orłowskiego w Zespole Szkół Samochodowych i Licealnych nr 2 na Woli – opowiada Patryk. – Moja klasa jest objęta patronatem Politechniki

Warszawskiej i gdy będę w klasie trzeciej, wykłady będziemy mieli na politechnice.

Mam szczęście być w klasie, w której ludzie na serio chcą się czegoś nauczyć. Jest z kim porozmawiać na przerwie.

W szkole wiedzą o mojej pasji i w sumie pozytywnie do niej podchodzą. Powiem nawet, że nauczyciele czasem stosują wobec mnie taryfę ulgową, bo to, co robię, ma związek z samochodami. Angażuję się w organizację imprez samochodowych, naprawiam stare samochody i w praktyce korzystam z tego, czego się w szkole uczę.

Ponieważ na dojazdy do szkoły na Wolę i powrót do domu w godzinach szczytu tracę dużo czasu, niewiele mi zostaje na to, by zejść do garażu i trochę przy samochodach podłubać, ale codziennie staram się to robić. A już na pewno w weekendy.

Wszystko zaczęło się od starych rowerów, które razem z tatą zacząłem kolekcjonować i odrestaurowywać. Tata, z zawodu mechanik samochodowy, bardzo dużo czasu poświęca mojej pasji. Kiedyś sam startował w motocrossach i w rajdach samochodowych fiatem 126p. Ma uprawnienia trenerskie, jest trenerem motocrossu i pracuje przy samochodach.

Aktualnie odrestaurowujemy kolejne motorowery i oryginalne rajdowe fiaty 126p. Tym się w wolnym czasie zajmujemy. Tak naprawdę to tata zaszczepił we mnie motoryzacyjną pasję. Dzisiaj dodatkowo wspiera mnie jeszcze Martyna, moja dziewczyna.

Mam w swojej kolekcji dziesięć starych polskich rowerów wyprodukowanych w Zjednoczonych Zakładach Rowerowych Romet w Bydgoszczy. Kolekcjonuję też motorowery. Właśnie dzisiaj tata pojechał załatwić przegląd, bo chcemy, by nasze motorowery uzyskały żółte tablice rejestracyjne. Żeby uzyskać takie tablice, pojazd musi mieć ukończone dwadzieścia pięć lat, a od końca jego produkcji powinno upłynąć dziesięć lat. Żółte tablice oznaczają, że pojazd jest zabytkowy.

Trzy nasze fiaty już takie tablice mają. Teraz staramy się o podobne dla dwóch motorowerów z Rometu. Jeden w naszej kolekcji już je ma.



Gdybym miał powiedzieć, co rajcuje nas w kolekcjonerstwie, to powiedziałbym, że najbardziej chyba świadomość, że takich egzemplarzy już nie będzie. Na swój sposób ratujemy je od zapomnienia i dajemy im drugie życie. Pokazujemy na różnych spotach, zlotach, wystawiamy na największych w Polsce wystawach, takich jak Warsaw Motor Show, Oldtimer Warsaw Show i tego typu eventach motoryzacyjnych.

Staramy się też wystawiać samochody na wszelkiego rodzaju imprezach lokalnych, takich jak na przykład Wielka Majówka. Chcemy, żeby ludzie mogli podejść, obejrzeć je z bliska, dotknąć i porozmawiać.

Classic Car

– Ponad dwa lata temu z moim kolegą Bartkiem Kryńskim postanowiliśmy zorganizować w naszej gminie spotkanie ludzi i starych samochodów. Chcieliśmy spotkać się z posiadaczami starych maszyn, porozmawiać o nich, wymienić się informacjami i pokazać to, co mamy.

No i na FB stworzyłem takie wydarzenie. Na pierwszy spot, który odbywał się na parkingu przed szkołą w Nowej Iwicznej, przyjechało dziesięć starych samochodów. To było w sierpniu 2017 roku. Frekwencja nie była imponująca, ale to nas nie zniechęciło. Wprost przeciwnie, zachęciło do działania.

Do końca roku jeszcze kilka razy organizowaliśmy takie imprezy, ale z frekwencją było nadal słabo. Przyjeżdżało po pięć, sześć starych samochodów. Widać było, że pomysły nie chwyciły.

...gmina zafundowała nam bluzy, koszulki i różne gadżety, żebyśmy mogli się promować

W następnym roku stwierdziliśmy, że podejmiemy jeszcze jedną próbę. Tym razem pójdziemy pełną parą i zrobimy wszystko, żeby przyjechało jak najwięcej samochodów, a jeśli to nie wypali, odkładamy pomysł na półkę, bo spotkania w kilkuosobowym gronie większego sensu nie mają.

Na rozpoczęcie sezonu w 2018 roku przyjechało blisko czterdzieści samochodów. Nie tylko z naszych terenów, ale i spoza Warszawy. To był dla nas znak, że trzeba się przyłożyć i dalej rozwijać nasz pomysł. Postanowiliśmy zadbać o większą reklamę, wykorzystać media społecznościowe i wystawy motoryzacyjne, żeby o nas i naszej imprezie usłyszano.

Udaliśmy się z Bartkiem na rozmowy z potencjalnymi partnerami medialnymi i sponsorami. I udało się. Potem nasze drogi się rozeszły i Bartek organizuje teraz swoje spoty w innej miejscowości, ale wtedy znaleźliśmy patronów medialnych takich jak Piasecznonews, Przegląd Piaseczyński, Kurier Południowy, czyli lokalne gazety i portale społecznościowe, które pomogły nam nagłośnić nasz Classic Car.

Efekt był taki, że jak ostatnio na zakończenie sezonu zorganizowaliśmy „Wietrzenie klasyków”, bo – wiadomo – sezon już się kończył i większość ludzi pochowała samochody do garażu na zimę, to w niedzielne południe 17 listopada na dwugodzinne spotkanie przyjechało około sześćdziesięciu pojazdów.

Zrobiliśmy przejazd przez Nową Iwiczną. Spotkaliśmy się pod szkołą i w pewnym momencie przyjechało tyle samochodów, że nie miały gdzie parkować. Zajęty był cały parking. Marzyliśmy o tym, żeby tak się kiedyś stało, i stało się. Na FB naszą stronę polubiło już ponad tysiąc osób, więc cały czas idziemy do przodu, akcja się rozwija i na spotkania przychodzi coraz więcej zainteresowanych.

Dzięki temu, że jesteśmy obecni na FB, na ostatnią imprezę przyjechał pan, który pokonał dystans dwustu pięćdziesięciu kilometrów, żeby się na niej ze swoim samochodem pokazać. Coraz więcej ludzi się o nas dowiaduje i coraz więcej przyjeżdża z Polski.

Na razie wszystko, co robimy, jest na miarę naszych możliwości, bo każda impreza wymaga pieniędzy, a my cały czas szukamy partnerów i sponsorów. Radny Krzysztof Klimaszewski, który



fot. z archiwum prywatnego P. Nachyły (x2)



fot. Krzysztof Klimaszewski (x2)

...w październiku byliśmy z naszymi zabytkami na Warsaw Motor Show

bardzo nas wspomaga, zorganizował nam spotkanie z panią wójt i pojechaliśmy na rozmowę. Pani wójt bardzo się nasza inicjatywa spodobała i postanowiła nam pomóc. Gmina zafundowała nam bluzy, koszulki i różne gadżety, żebyśmy mogli się promować na Motor Show. Bluzy są czarne, mają nazwę Classic Car, logo gminy Lesznowola, logo Centrum Sportu, które także nas wspiera, fundując puchary i gadżety reklamowe. Gdy w tych strojach wystąpiliśmy jako organizatorzy Nowa Iwiczna Classic Car, największej tego typu imprezy w Polsce, czuliśmy się jak profesjonalści.



W październiku byliśmy z naszymi zabytkami na Warsaw Motor Show, czyli na największych targach motoryzacyjnych w Polsce, które odbywają się w Nadarzynie. To była dla nas ogromna okazja, żeby się zareklamować.

Oficjalnie sam za to płacę, ale jest sporo osób, które mi pomagają i angażują w to przedsięwzięcie swój czas. Nie muszą, ale chcą, bo jest to dla nich fajna zajawka, pasja, którą też tak jak ja chcą rozwijać. Tu muszę się przyznać, że na razie robię to wszystko, nie mając jeszcze prawa jazdy. Dopiero w styczniu będę miał osiemnaście lat, będę mógł skończyć kurs na prawo jazdy, a gdy już je otrzymam, będę bardziej mobilny i będę miał więcej czasu. Mniej będę go tracił na przejazdy. Będę mógł pojechać coś kupić i nie będę uzależniony od taty, bo nie zawsze ma czas, żeby ze mną po coś pojechać.



fot. Krzysztof Klimaszewski (x4)

Na ostatnim tegorocznym zjeździe najczęściej było maluchów, czyli fiatów 126p, w tym nasze dwa. Był też wartburg z lat sześćdziesiątych Michała z Jazgarzewszczyzny. Przyjechały wozy amerykańskie, stare BMW, mercedesy z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, ale maluchów było najwięcej, bo chyba piętnaście. Do nich ludzie mają największy sentyment.

Fajne jest w tych spotkaniach to, że przyjeżdżają ludzie z pasją, którzy chcą porozmawiać i pokazać swoje różne patenty. Wiek miłośników tych samochodów jest różny. Są młodzi, którzy dopiero zrobili prawo jazdy, i kierowcy, którzy jeżdżą już ponad pół wieku. Są też tacy, którzy na starsze lata odrestaurowali sobie jakiś pojazd, pielęgnują go i jeżdżą tylko na takie spotkania, bo to ich dalej interesuje.

Często najmłodszy przyjeżdżają nie za kierownicą, ale ze swoimi rodzicami. Chodzą, oglądają samochody, dziwią się, że takie były, przy okazji trochę się uczą i robią sobie zdjęcia przy zabytkowych maszynach.

Patrzę na to wszystko i czuję, jak mi serce z radości bije i jaką mam frajdę. Bardzo lubię rozmawiać z takimi osobami, wymienić poglądy i zdobywać nowe wiadomości. Z każdym takim spotkaniem moja wiedza na temat motoryzacji się pogłębia.

Jak szukam samochodów do mojej kolekcji? Różnie to bywa. Ostatniego malucha spotkałem bardzo przypadkowo na spacerze. Zobaczyłem go, stojącego już chyba od dłuższego czasu



przy jednej posesji w Krzywej Iwicznej. Zaczepiłem bawiące się dzieci i zapytałem, czy to maluch, czy nie wiedzą, kto jest jego właścicielem. Wiedzieli.

Zaprowadzili mnie i kolegę do właściciela malucha i okazało się, że pan nosił się z myślą o jego sprzedaży, więc spadliśmy mu jak z nieba. Zaczęliśmy rozmawiać, opowiedzieliśmy, dlaczego fiacik nas interesuje, opowiedzieliśmy o naszych zjazdach, o tym, że kolekcjonujemy stare samochody i właściciela fiata 126p nasza opowieść zaciekała na tyle, że zgodził się samochód sprzedać. Przyjechałem więc z tatą, dogadaliśmy się i kupiliśmy egzemplarz do naszej kolekcji.

Nasz Classic Car to nie tylko prezentacja samochodów. Za każdym razem wymyślamy jakieś konkurencje, żeby uatrakcyjnić to kilkugodzinne spotkanie. I to nie tylko wybór najstarszego czy najlepiej prezentującego się, czy najbardziej zmodyfikowanego samochodu, ale też konkursy dla widzów i dla dzieci, które są z rodzicami. Są i konkurencje techniczne, jak zmiana koła na czas we wraku czy zabawowe, jak rzut kanistrem do koła.

Teraz organizujemy nasze spotkania na terenie Eko-Mysiadło. To miejsce pomógł nam załatwić pan Marcin Kania, gdy jeszcze



fot. z archiwum prywatnego P. Naczyły

był radnym. Przy szkole jest skatepark i buduje się nowa hala sportowa, więc tam już byśmy się nie zmieścili.

Teraz, gdy idzie zima, będę miał więcej czasu. Będę siedział w garażu i kończył wszystkie swoje projekty, na które latem czasu nie było. Przede wszystkim chcę skończyć rajdowego malucha, którego kupiliśmy z tatą i razem nad nim pracujemy. W tej chwili ma moc czterdziestu trzech koni mechanicznych, fabrycznie miał dwadzieścia cztery, a chcemy, by miał pięćdziesiąt. Chciałbym startować na nim w próbach sprawnościowych i innych zawodach, jeśli oczywiście budżet mi na to pozwoli, bo to nie są tanie imprezy. ■

Święta, święta i po świętach



– Pytania, które w naszej kuchni dziś zadajemy, są aktualne zawsze. Przed świętami, w święta i po świętach. Ogólnie rzecz ujmując, są na co dzień i od święta. Tak naprawdę są pytaniami na każdy dzień i odpowiedzi na nie powinna znać nie tylko pani domu – mówi Agnieszka Jeżewska, dietetyczka.

Czy chcesz:

- Spędzić czas z najbliższymi w atmosferze radości?
- Usiąść umęczona po kilku niedospianych nocach i cieszyć się, że stół był nakryty na sztywno wykrochmalonym obrusem, ale na rozmowę przy stole nie było już siły?
- Nakarmić najbliższych tym, co najlepsze i najzdrowsze, wiedząc, że będą czuć się lekko i patrzeć, jak oni też się uśmiechają?
- Serwować następnego dnia swoim gościom Espumisan zamiast świątecznego obiadu?
- Cały czas chudnąć (jeśli jesteś na diecie) lub nie przytyć?
- Mieć 2, 3, 5 kg więcej i kombinować, jak się zmieścić w krację przyszykowaną na Sylwestra?

Odpowiedzi chyba nie są trudne. I choć w teorii jesteśmy mocni, to w praktyce bywa różnie. Na ogół działamy BEZ PLANU! Stąd kilka rad.

Nie rób ogromnych zapasów. Wiele osób sernik, czy pierogi jada nie tylko raz w roku (jak było kiedyś), więc porcje świątecznych potraw, które zjadamy, są podobne jak w każdy inny nieświęteczny

dzień. Jeśli planujesz dziesięć osób na świątecznym obiedzie – kup dziesięć porcji jednego mięsa, dziesięć innego, dziesięć ziemniaków. Nie potrzebujesz potrójnej porcji wszystkiego! Przecież tuż po obiedzie podasz ciasto!

Święta trwają trzy dni. Zaplanuj więc zakupy tak, żeby jedzenia nie zostało! W wielu domach aż do Nowego Roku „dojadamy” resztki, których szkoda wyrzucić. Nie bój się, na pewno nikt nie wyjdzie od Ciebie głodny!

Niektórzy z nas resztek nie dojadają, tylko wyrzucają. Zastanów się, ile czego kupić, aby nie wydać majątku na jedzenie, które i tak wyładuje w śmieciach. Ja za zaoszczędzone pieniądze wolę kupić kieckę na poświętecznej wyprzedaży :)

Na choince powieś naturalne ozdoby z suszonych pomarańczy, goździków, szyszek czy pierników. Niech nie kuszą czekoladowe cukierki, czy cukrowe sople. Zadbaj w ten sposób również o zdrowie swoich pociech. Słodczyce na prezenty też są kiepskim pomysłem! Zaplanuj lepiej owoce, orzechy albo kolorowaną i mazaki w cenie większej czekolady. ■

CIASTO GRYCZANO-CZEKOLADOWE

SKŁADNIKI

3 jaja, 2 łyżki kakao, 30 g gryki ekspandowanej, 200 g płatków owsianych, erytrol – można dodać (opcjonalnie 1,5 łyżki), 2 łyżki rodzynek (30 g), polewa: 1 tabliczka (100 g) czekolady gorzkiej min. 70 %

Energia: **1839 kcal**

Białko: **62,1 g**

Węglowodany: **226,7 g**

Tłuszcze: **77,8 g**

Błonnik: **16,9 g**

Wszystkie składniki wymieszaj oprócz gryki. Po uzyskaniu jednolitej masy dodaj preparowane ziarna i wymieszaj. Piecz w 180 stopniach około 30 minut. Kiedy ciasto wystygnie, oblej czekoladą.





ŁOSOŚ W ZIOŁACH

SKŁADNIKI

filet z łososia 200 g (wielkość dłoni), przyprawy: pieprz cytrynowy, trawa cytrynowa w proszku, kolendra suszona, sól, imbir świeży, 1 cytryna, 1 pomarańcza, 1 marchew

Energia: **407 kcal**
Białko: **40 g**
Węglowodany: **1,7 g**
Tłuszcze: **27,2 g**
Błonnik: **0,7 g**

Imbir, cytrynę i pomarańczę pokrój w plasterki, marchew zetrzyj na grubych oczkach. Filet dopraw przyprawami, następnie połów na folii aluminiowej, obłóż pokrojonymi produktami i zawiń. Włóż do piekarnika nagrzanego do 180 stopni i piecz ok. 40 minut.



HUMMUS ŚWIĄTECZNY

SKŁADNIKI

200 g ciecierzycy konserwowej, 1 płaska łyżka (13 g) pasty tahini, czosnek, sok z cytryny, 1 łyżka skórki z pomarańczy, łyżeczka cynamonu, sól, pieprz

Energia: **330 kcal**
Białko: **16,2 g**
Węglowodany: **37,2 g**
Tłuszcze: **13,0 g**
Błonnik: **16,2 g**

Wszystkie składniki dokładnie zblenduj i ugotuj. Podawaj ze świeżymi warzywami.

SKŁADNIKI

200 g wędzonego tofu, 1 łyżka pasty z papryki słodkiej i papryki ostrej, 15 sztuk suszonych śliwek (na około 15 porcji)

Energia: **504 kcal**
Białko: **27,7 g**
Węglowodany: **78,3 g**
Tłuszcze: **13,3 g**
Błonnik: **9,9 g**

Tofu pokrój w plasterki, następnie rozłóż na blaszce silikonowej lub blaszce z papierem. Pastę z papryki rozcieńcz z wodą do lekko płynnej konsystencji i posmaruj nią paski tofu z dwóch stron. Paskami obwiń śliwkę i przebij wykałaczką. Piecz w rozgrzanym piekarniku przez 5-7 minut.



ROLADKI À LA BEKON Z SUSZONĄ ŚLIWKĄ

SKŁADNIKI

250 g orzechów włoskich (lub laskowych/nerkowca), 5 jaj, 100 g ksylitolu lub erytrolu (mniej kcal), 1 łyżeczka proszku do pieczenia, 2 łyżki mąki owsianej (lub innej), 3 łyżeczki przyprawy do piernika, polewa: 1/2 tabliczki gorzkiej czekolady min. 70 %


Energia: **2585 kcal**
Białko: **62,9 g**
Węglowodany: **252,8 g**
Tłuszcze: **160,3 g**
Błonnik: **2,2 g**

Jaja połącz ze słodzikiem, następnie dodaj bardzo drobno zmielone orzechy, a na końcu mąkę z proszkiem do pieczenia i przyprawą do piernika. Wszystko wymieszaj i przełóż do średniej blaszki keksówki. Piecz około 40 minut. Pierwsze 20 minut w 180 stopniach, kolejne 20 minut w 160 stopniach. Do polewy użyj gorzkiej czekolady min. 70 % kakao.



CIASTO À LA PIERNIK

Te i inne przepisy znajdziecie na Facebooku Dietetyk Agnieszka Jeżewska – Poradnia Effecta



*„Szczęście rzadko bywa nagrodą;
szczęście jest najczęściej niespodziewanym prezentem”.*

Pam Brown, australijska pisarka i poetka

*Wielu takich prezentów w 2020 roku
życzymy
naszym Czytelnikom i ich bliskim*